EDMUND ZECHENTER.

WALKOWE KOCHANIE

KRAKÓW.
NAKŁADEM I DRUKIEM [illegible] GEBETHNERA i Sp.
SKŁAD GŁÓWNY. KRAKÓW [illegible] KOZIAŃSKICH
[illegible]

WALKOWE KOCHANIE

EDMUND ZECHENTER.

WALKOWE KOCHANIE

STRZELEC BARDĘGA. — W ŚNIEŻYCY. — LEGENDY.
W GODZINIE SZCZĘŚCIA. — OBRAZY JESIENNE.
MIŁOŚĆ NIE WRACA.

KRAKÓW.
NAKŁADEM I DRUKIEM E. i Dr. K. KOZIAŃSKICH
SKŁAD GŁÓWNY: KRAKÓW, SPÓŁKA WYDAW. POLSKA
1914.

Dzieucho mojaśty
Kochaj-że mnie przecie,
W zimie i pod jesień
Na wiesnę i w lecie! Da, dana!...

wyciągał z całego gardła Walek Prochal, aże się niesło polami hen, pod las. Dziw, co mu tchu starczyło, bo gnał przytem, kiej najściglejszy źrebiec: miedza nie miedza, rów nie rów. Co mu ta dróga, dalekość: kochanie go ponosiło. Kapelusz z fantazyją zsunął se na ucho, ślepia śmiały się okrutnem weselem. Do gdowy Goduliny gnał, Magdusinej matki.

Godulina akurat przystanąwszy w progu izby, cisnęła kurom na sień przygarście przestudzonych ziemniaków, bo cięgiem pode drzwiami labiedziły i jojczały do uprzykrzenia.

— Jedna, dwie, trzy... — jęła liczyć swoją chudobę, gdy zrobił się w sionce gwałt, kiejby piorun trzasł. Kury z wrzaskiem furknęły w górę, czepiając się pazurami drabiny przystawionej na strych, buchnął tuman kurzu, a kobietę niby jakaś siła niesamowita odepchnęła do izby.

— Hej, matuś, Magdusia wraca do dom! Słychacie?!

I Walek, który w te razy z okrutną breweryją wpadł do izby, porwał gdowę wpół i nuże obracać się z nią w kółko, a tak ogniście i zapamiętale, jakby z dziewuchą na muzyce.

— Jezu miłosierny! Cóże ty chłopaku wyprawujesz?! — zakrzyczała kobieta. — Adyć puszczaj w te razy! Głowęś do krzty stracił, abo co?!

Sfolgował jej nareszcie. Usiadła na ławie zadyszana.

— Przemienienie Pańskie! Wleciałeś obces na sień, kiejby ten zły wiater, małoś całej chałupy nie ozniósł!...

— Juści com ją powinien oznieść, skoro Magdusia wraca! I to dzisia!! Słychacie?! Dzisia będzie hawok, doma, u was!!

Matuś moiściewy
Radujcie się ze mną,
Kiej haw zajedziemy
Będzie do cna ciemno! Da, dana!

— A cichoj-że despetniku! dy się opamiętaj! Nie obyrtałbyś się i nie ozdzierał, kieby ten waryjok, ino siadł a opedział wszyćko po ludzku, dokumentnie...

Przystanął nakoniec; niebieskie ślepia grały mu radością, aże jasność od nich biła.

— Ano było tak. Idę ja kole wójtowego obejścia a Wojtek wójtów woła, coby do nich wleść. A skróś czego? — pytam. — Skróś listu do Goduliny, bo leży haw od piątku, cobyś jej go dał. Wpadam w oczymgnieniu do wójtowej chałupy, bo (myślę se) juści od Magdusi, kłaniam się wójtowi, biorę list i zaraziczek drógą czytam... O, tylo ino pisze: „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus...“

— Na wieki wieków, amen! — odpowiedziała kobieta, pochylając głowę.

— „...Kochana Matusiu! Nie duza do Was piszę dzisia, ino to, że w tę niedzielę przyjadę do wsi, skoro juże tak chcecie, cobym prze-

deżniwy wróciła. Wyślijcie po mnie na kolej konie od Cieślika od Pietra, abo od Jakóbca, tego na uwrociu, pewnikiem pojadą. Konie jeszcze mają czasowe, ja przez wozu nijak bym się z rzeczami nie zabrała. Mam przyodziewy i bielizny kuferek i setny tłómok, a od nas do kolei dwie mile. Nie porada inaczej, trza na furmankę stracić, ale się zaś nie turbujcie, ja ze swego zapłacę. Pozdrawiam Was i Panu Jezusowi polecam, a nie zabaczcie, coby w niedzielę, na odwieczerz na szóstą godzinę furmanka była po mnie. Wasza córka Magdalena".

— A to się dzieucha ładnie spomogła — pokiwała matka głową — nie ma co rzec. Po godnich świętach poszła na piechty z węzełkiem na plecach, a tera tyla dobra przywozi... Ktoby się był spodział!

— Juści, udała się jej służba. Abo to mało razy pisała, co jej jak w niebie! Pojedziewa, matuś, prawda? Furmankę mam. Nie leciałem haw ino z ozorem. Jakóbiec Błażek zgodził się po kumoterstwie za pietnaście szóstek. Oboje se pojedziewa z paradą po naszą dzieuchę!!

— Jako-że to: po naszą? — spytała Godulina przekornie (a poźrała na chłopaka tak od serca kiejby rodzona).

— A juści po naszą: bo i waszą i moją!

— A kaj-że masz mentrykę, co jest twoja? Bo ja mam ją haw we skrzyni...

Zaśmiał się Walek szeroko.

— I mnie ją wnetki jegomość wypiszą! I juże nie będzie ni wasza, ni nasza, ino moja! Do samej śmierci moja, na wieczność, rozumiecie? Hej, Magduś moja ślieczniuśka, serdeczna dzieucho!

Kobieta widząc, co aże oczy chłopakowi zwilgotniały, z matczyną dobrością wzięła w obie ręce jego głowę i ucałowała.

— Tak-że ją to nadewszyćko, kiej to oko w głowie miłujesz? taką chudobną, przez nijakiego grontu?

— A co mi ta gronty, majątki! Cóże to sam będę miał tego grontu? Pan ociec dadzą morgę i tylo! Ot, te dziesięć paliców cały majątek! A i tak ś-niemi przy nowym gościeńcu zarobiłem od wiesny grosiwa moc... Na święty Michał, abo i przódzi, waszą chałupę wyrychtu-

ję galanto — i będziewa se haw siedzieć, jak u Pana Boga za piecem!

— A rachuj-że, co i ona ze służby cosi śrybła przywiezie i we żniwa nie byle jaki grajcar zarobi — to wam i na parę prosiaków na początek wystarczy, a na wiesnę ostanie na krowinę!

— Hej, będzie nam też dobrze, rety!

Tarł płową czuprynę, brał się pod boki, wykręcał raz wraz na pięcie, widziało się, ze skóry wyskoczy z okrutnej radości.

— Matuś, sprawiedliwie wam mówię, kiej se w głowie pomyślę: na wieczór, dzisia, ona już będzie haw, w chałupie, co mi się bez tyli czas za nią tak straśnie cnęło — rety, zda mi się, świat cały mój, cała wieś, wszyćko! A takim pan, nikiej dziedzic z Olszańskiej Woli, co ino czwórką jeździ!

Wtem zaturkotało przed chałupą. Walek porwał się do okna.

— Ogarnijcie się duchem! Jakóbiec już jest!

* * *

— Rzeknąłbym ci cosi, Magduś...

— Abo co?

— Toli, żem patrzał w ciebie bez caluśką drógę kiejby w ten święty obrazek i nieporada było napatrzeć się do sytości.

— E, nie świadczyłbyś... Widzi ci się ino...

— Kaj się ta widzi! Dy i w izbie, skoroś ino haw wlazła, jakosi do cna inaczej. Pustka tu przódzi była wszędy, a tera kiejby bez jakiesi czary ozkwitło niby w sadzie na wiesnę...

Po prawdzie to Walek ani ździebko nie schlebiał. Dzieucha była kiej ta róża rozwita. Wystrojona z drogi, w sutym, wyszywanym gorsecie, bieluśkiej, haftowanej koszuli, z długiemi, czarnemi kosami bez plecy, kraśniała raz wraz pod miłującemi oczyma chłopaka. Ale Walek, choć rad okrutnie, że ona już doma, jakosi w sobie czuł się nieswojo. Byli sami (Godulina poszła do karczmy po cukier, harak i arbatę) a przecie nijak mu nie dało z ławy wstać, chycić ją bez pół z całej mocy, jak przódzi, i ucałować w słodziuśką gębusię...

— Wiesz co, Magduś, widzisz mi się jakasi inaksza. Niby ta sama, a kiejby już nie taka swoja... Chocieś ta po naszemu ubrana — ale cosi pańskiego od ciebie zalatuje...

— Ej, plecie ci się, plecie... Coby zaś pańskiego było na mnie...

— A cosi jest... Przed godniemi świętami toś była... jakby to rzec... —

— Ano o pół roku młodsza...

— E, nie wykręcaj, nie o to mi idzie... Mój Jezus kochany! Jakem się też uradował, kiejem ten list przeczytał, jaka ci mnie bez caluśką drógę na kolej uciecha rozpierała — rety! A tera patrzę: panna z miasta, po naszemu przebrana, gładziuśka, substelna, obzywa się mało-niewiele, że ino-ino... Niby moja dzieucha, ale kiejby ją bogińki odmieniły. Uśmiechnęła się niepewnie, mnąc w garści zapaskę.

— Abom to dziecko w pieluchach, coby mnie bogińki odmieniały!... Czegosi odemnie chcesz, sam nie wiesz czego!

— E, wiem ja, wiem...

— Toś ty chyba odmieniony... na oczy ci padło...

— Zda mi się, jakby mi cię cosi aby ociupinę wzieno...

— E, Walek, bo się pogniewam! Ledwom przyjechała, już mi doskwierasz... Nie byłeś

przódzi taki... Tam, na służbie, złego słowa nikt mi nie powiedział... ptasiego mleka brakowało...

Chmura przeszła po białem czole chłopaka.

— Abo ja ci złe słowo mówię? Markotno mi, coś la mnie inksza — i tylo! To mi tego nie wolno rzec?! Chybaś nie rada z nami, znowu we wsi... Cnie ci się za tamtymi, za tem państwem?

— Matuś — zwrócił się do wchodzącej właśnie Goduliny — mówię, co Magdusia jakasi inaksza, państwem zalatuje — a ona się o to źli...

— Inaksza, inaksza! — podchwyciła wesoło matka. — Ano do pola nie chodziła, ino ciągiem na pokojach abo w kuchni, to ją słoneczko nie opiekło. I ja po służbie w mieście, tom inakszą wracała. Hawok wnetki na wsiową dzieuchę się przerobi. Prawda Magduś?

— Juści — przyświadczyła, wstawszy z ławy i schyliła się otwierać kuferek.

— O, patrzcie matusiu, com nawiezła! Ta chusteczka la was, i ta, trzymajcie, i modląca książka... A Walkowi pulares, coby się go pieniądze trzymały...

Odbierała matka gościńce jeden po drugiem, a wielkiemi oczami patrzała na tyla dobra, co go Magdusia ciągiem z kufra wyjmowała. Przyodziewy było moc, spodnice, fartuchy, bielizna, korale... Aże samej sobie nie wierzyła...

— Straśnie cię to państwo musiało nawidzić...

— A ino, lubili... Nijak nie chcieli puścić. Uzwolnili, skoro matusia pisali, co przykazują przedeżniwy wrócić...

— Ano nie dziwuję się tera — wzruszył ramionami Walek. — Kochali cię okrutnie... co ta matka, abo ja... wsioskie ludzie, chudobne... Juści, radabyś była hań ostać, nie przychodzić do wsi na czarny chleb, na żur...

— Bez co mi ciągiem dopiekasz? Cóże się to znaczy? Tom odmieniona, tobym zostać była rada? Kiej dobrze mi było, co nie mam prawdy rzec?! Na tom do dom wróciła?! Oj, dolo moja, dolo!...

I ani się Walek nie spostrzegł, kiej zrobił się na całą izbę lament, aże mu serce z żalu ścierpnęło. Magdusia porwawszy się od kuferka, obrócona do ściany, z rogiem zapaski

przy oczach, jęła łkać, aże jej ramionami podrzucało.

— Rety, Magduś, adyć nie płacz! Nie krzywduj se skróś mego głupiego gadania, bo nie strzymam! Dy mi odpuść, nikiej już pary z gęby o tem nie puszczę! Rety, Magduś! Pochwycił jej ręce, jął odrywać od oczu.

— Toli nie płacz! Poźryj miłościwie! Magduś serdeczna!.. Daruj, dy klęknę przed tobą, ino daruj!..

— I bez cóż, mojaśty, tak się żalisz? — zatroskała się matka. Wzięła ją głaskać po licach, po głowie, tulić do piersi. Ale nadaremno; dziewczyna płakała jeszcze żałośliwiej, niby ta sierota, co jej krzywda na świecie... ciężka krzywda...

* * *

Nazajutrz, skoro świt, z półbochenkiem chleba i godnym kawałem sera w kraciastej chusteczce, szedł Walek, jako zwyczajnie, do nowego gościeńca. Wyrychlił się bardziej, nawet doma nie pośniadawszy, bo na bliższe drógi była opętana mila, a chciał ździebko poźreć jeszcze na Magdusię, co ją wczora w takim nieutulonym płaczu ostawił. Cudny

był ranek — pachnący, krzepki, rosisty. Słoneczko co ino swem jasnem okiem poźrało na ozwity, świeżuśki, zielony świat, ptactwo po drzewinach ćwierkało, nawoływało się, koguty na obejściach piały. Hej, oddychałoby się szeroką piersią, chciałoby się żyć, radować całą tą ziemią rodzącą, miłować wszyćko dookoła! Ale Walkowi ciężko było na sercu, choć dzieuchę se przywiózł. Kiej wieczór do dom wracał, cięgiem stały przed nim bolesne, czerwone od płaczu, Magdusine oczy. Przyjechała do swoich — i bez cóż taka żałość ją zdjęna?... Nie wydolił nijak tego w swej głowie wyrozumieć... Serce biło mu niespokojnie, kiejby się czegosi bojące. A możeby tera nie wstępować do Godulinej chałupy?... Ale go nogi znajomą drógą nieprzeparcie ku niej niesły...

Co ino wlazł na obejście, słyszy, Godulina się oździera, aże bez uszy idzie...

...A cóże to znowu? Powstajały tak rano i matka zaraziczek w takim jankorze?...

A Godulina wrzeszczy na cały głos:

— Ciewy, panicz! Panicza się jej zachciało!

Na to z chałupy szła, by dzisia, ścierwo, z przychowkiem wrócić!...

Chłopak zadygotał w sobie cały, kiej ta osika nagłym wiatrem wstrząśnięta i ani kroku już dalej postąpić nie mógł. Nogi jakby mu w ziemię wrosły, zamąciło się w głowie do krzty...

— Jezu, Jezu... — szeptały trzęsące się, pobielałe wargi.

A Godulina, jušci w okrutnem zapamiętaniu, krzyczała dalej:

— ...A o starej matce, o poczciwym Walku, coby tę ostatnią krew z siebie la niej wytoczył — zabaczyła do znaku! Ale se nie myśl, cobyś haw długo popasała! Wnetki se pójdziesz skądeś przyszła, cobym cię już na oczy nikiej nie widziała!... Niech se ta Cieśliczka, Korzeniaczka, Durbasina córki z dzieckami chowają, po mnie się to nie pokaże! U nas, w naszej famieliji, takich dzieuch nie bywało!... Ja ta nie z takiego nasienia: jak nas u ojców było pięć — tak jedna w drugą prawą dzieuchą za chłopa szła! Nijakich przychowków przódzi matce nie znosiła! Jezu! Matko Najświętsza! I tegom się na stare lata doczkała! Na tom ją od małości po bożemu chowała! na tom

tyla dziesiętała, kiej na służbę szła!... A tera cóże będzie? cóże ja nieszczęśliwa pocznę, jak mnie cała wieś na ozory weźmie?!... Ale se pójdziesz, niczem się ludzie zwiedzą, niczem do krzty zgrubniesz!... Pójdziesz se we świat, na mamki!...

Walek stał, jak ten kamień drogowy, zdało się, do krzty przez życia. Kiej z pierwszych wywoływań Goduliny przeznał całe nieszczęście, jakby go kto nagle obuchem zdzielił bez łeb. Nie rozumiał, co wykrzykiwała dalej. W zamroczonym rozumie niby te ogniste błyskawice ścigały się ino słowa: „Panicza się jej zachciało! Z przychowkiem wróciła!“

Lód, zda się, ściął mu lica i szedł w dół, aż do pięt. Nie wiedział, kiela czasu stał tak jak urzeczony. Nakoniec, odrętwiały, patrzący własnemi ślepiami, a jakby nie swojemi, niby to on, a niby ktosi inkszy, postąpił ku chałupie.

Rozwarł drzwi i stanął w progu.

— Jezusie Nazareński! Walek!... — zakrzyknęła stara. — Cóże się z tobą podziało?... A siednijże duchem nieszczęśniku, dy z nóg się zwalisz w te razy!...

Padł ciężko na ławę. Z czoła lał mu się zimny pot. Kapelusza nie zdjął; w ścierpniętej garści trzymał dalej węzełek z chlebem. Nie rozeznawał jeszcze; zmora-li okrutna dusi go na śpiączku, czyli to jawa? Oczy patrzały na izbę jak niewidzące. Mignęła mu na moment Magdusia, w jednej spodniczynie, boso, z rozpuszczonymi włosami — i zniknęła we drzwiach. Czerwonemi, zapuchniętemi od płaczu ślepiami poźrała, kiej ta na śmierć udręczona, zgoniona sarna...

Gdowa labiedziła cięgiem, raz wraz popłakując, narzekając na złą dolę matczyną. Nic nie rozumiał; huczało mu w głowie, jak w młynie. Sporo czasu wyszło aże się otrząsł z tego. Ruszył się, rozprostował, wstał. Ujął rękę Goduliny.

— Matuś... — zagadał cichuśko, dławiąc się słowami — ochfiarujcież Panu Jezusowi waszą niedolę... Adyć widzicie jako mnie ścieno... Cóże już jankór i pomstowanie pomogą?... Juści... biednaście...

Rozpłakała się w te razy na cały głos, i nie dając mu nic już rzec, jęła zawodzić:

— O nieszczęśliważ moja głowa!... I te-

gom się na stare lata musiała doczkać!... Cała wieś wytykać będzie, ślepiów na ludzi juże nie podniesę!... Zarazem wczora, skoroś ino poszedł, poznała, co się święci. Bez całuśką noc okam nie zmrużyła... Ale ją z chałupy jak tego psa wyżenę, tak mi Panie Jezu dospomóż...! Niech se bierze przyodziewę, korale, wszyćko... przehanglowała za to wianek... Szelma, ścierwo zatracone!...

Zaiskrzyły się jej oczy, mokre jeszcze od łez. Jęła wygrażać pięściami ku drzwiom...

Walek wziął ją znowu za rękę. Ścisnął silnie, aże pojrzała nań zdumiona.

— Matuś... ale jej nie bijcie... Pamiętajcie!

— A bez cóż się do tego wrażasz? Dy już jej tera nie będziesz brał...

— Juści... ale nie bijcie!...

* * *

Nie poszedł już do roboty. Jak zbudzony nagle z twardego snu, raz wraz pocierając czoło kóli otrzeźwienia, wlókł się z omroczoną głową w pola, na łąki, ustronnemi miedzami, by zaś kogo z wsiowych ludzi nie zdybać. Zatrzymał się dopiero za granicami, w szczerem polu, w wąwozie przy zżętem koniczysku,

pod starą dziką gruszą. Słoneczko już tęgo grzało. Od pastwisk dalekich i ugorów szły przyśpiewki pastusze, chruściele grały tu i ówdzie w zbożach wysokich, świerszcze wrzeszczały naokół.

Opadł naraz z sił. Usiadł ciężko, potem legnął na wznak. Szeroki cień gruszy, uwieszonej na skraju wąwozu, padł mu na oczy. Po niebie sunęły białe obłoczki, jaskółki z słodkim świegotem uganiały hen, po przejasnych dalekościach, samotny bociek niósł się nizko na szerokich skrzydłach na mokradła, spóźniona kukułka gdziesi opodal zawołała nagle i w te razy urwała...

Zapatrzył się, zasłuchał, jakby wyszedł z siebie...

Naraz coś uderzyło w gałęzie tuż nad jego głową i rozległo się przeraźliwe krakanie.

Aże na nogi się porwał. Cisnął kapeluszem w górę, by spędzić uprzykrzonego ptaka, co śmierć i nieszczęście zwiastuje.

...Zakrakałaś mi, ścierwo, na złą dolę!... Ano, sądzone już było... Panicz... panicz... jakisi gładziuśki, przyścipny... Juści, świadczył, przypodchlebiał, chodził za nią — aże

wzion... Zabaczyła o mnie do krzty... Co ta Walek, chudobny, upracowany, daleko we wsi... Tamten był cięgiem na oczach, bez tyli czas... Bez to wczora ani się nie przywitała jak się patrzy, taka była inaksza, i w taki lament uderzyła...

...Nie porada tak wyżyć... Pójdę we świat, abo co... Rzucę wszyćko, robotę, wieś — pójdę... Hej, jak to ona przódzi pisowała... Zawdy do mnie osobno... A z wiesną już ino do matki... do mnie dwa słowa... pozdrówcie Walka... nie mam czasu dłużej pisać... I tak bez lato... do ostatniego listu... Teraz już wiem skróś czego... A wczora jechałem kiejby po skarby, po złoto-śrybło, świętości największe... Hej, Magduś, Magduś!...

Okrutny żal uchycił go za grzdykę i dusił kiej kwardą chłopską garścią...

...Hej, Magduś...

— — — — — — — — —

Nikt go teraz nie uświadczył między chałupami, ni na robocie. Włóczył się cięgiem poza wsią, całe odwieczerze, bywało, legiwał w boru, na noc ino do chałupy zachodził. Opuścił się do krzty; migiem schudł na gębie, zczerniał,

ślepia zapadły mu w doły. Zdziczał, omijał ludzi zdaleka, wlókł się obdalnemi drogami, kiej ten pies bezpański.

Dziwowali się w chałupie, dopytywali: cóże ci jest? może chorość jaka? może ci źle na wnątrzu? Trzaby do miasta, do doktora!... A Walek nic. Matkę pięknie w rękę pocałuje, bierze swój chleb, ser, spyrkę — i idzie, niby do gościeńca. Wraca późno w noc, kiej na izbie już ciemno, nie wieczerza i wlecze się do szopy spać. Skoro go dopytują o Magdusię, zatka go w piersiach tak, aże dech odejmuje. A potem uśmiechnie się jakby nigdy nic i plecie byle co... Rada mu okrutnie, a juści, wybiera się haw nawiedzić ojców; dziś abo jutro pewnikiem przyjdzie... On wstępuje do Goduliny zawdy z wieczora, niczem do chałupy wróci...

A kiej tak kłamie, w sercu go źga, jakby mu kto tępy kozik pchał w piersi.

Tak zeszedł dzień, dwa, trzy, a jemu się widziało hola, hola kiela czasu ta nędza, to utrapienie okrutne wciąż trwa i trwa...

Zachodził parę razy pod dziką gruszę. Ci-

chuśko hań zawdy, nikto się nie zapędza, żywej duszy.

— Hej, gruszo, gruszo... szeptał z bolejącej piersi. — Tyś mi ino jedna ostała... Z tobą mi przyjacielstwo, pogwarka... Wszyćkiego wysłuchasz, wszyćko przeznasz...

A grusza szumiała nad nim, niby do snu spokojnego kołysząc. Szeptała liśćmi, kiejby mówiący: „Ucisz się biedny człecze, ucisz... Taka już dola... Nie porada ś-nią za bary się brać... Męka nie wieczna, bo i żywot nie wieczny..." Rozpościerała mu szerokie konary nad głową, chroniąc od skwaru słonka, niby ta mać obstarnia a miłościwa...

Ale, bywało, przystępywała doń wściekłość zapamiętała, chytała za ramiona i pędziła przed się naoślep. Gnał polami, borami, jakby go złe opętało. Z lic mało krew nie tryskała, oczy jarzyły się dziko, w piersi charczała ponura zawziętość... Przychodziło mu do głowy lecieć kajsi we świat, do owego „panicza", ułapić go za gardło, zdusić na śmierć... Abo wpaść do chałupy Goduliny, rzucić się na Magdę, wrzeszczeć, ze łba włosy se drzeć, szaleć... Przytrzymać ją co sił za ręce i wołać,

wołać przez opamiętania: „Bez coś mnie tak ukrzywdziła? bez co? bez co? bez co?!"

Lecz złe niedługo dzierżyło go w swej mocy. Nie był już z takiego rodu. Zapamiętały, o pomstę wołający jankór omijał go rychło; ciężki jeno smutek i żal, co niby ten kamień mogilny uwaliły się na bolejące serce, nijak zelżyć nie chciały...

* * *

I tego ranka, jako teraz zwyczajnie, niesły Walka nogi kajsi przed siebie. Minął ostatnie opłotki, sunął dalekiemi polami wskróś dostałego żyta, rychłego sierpa wyglądającego, za granicami zaś jął żwawo zmierzać pod swoją starą gruszę, bo drzewin nijakich pobok nie było, a właśnie poczęło mżyć drobnym kapuśniakiem, juści na trzydniówkę. Świat był zasnuty, niewesoły, ale cichy i spokojny. Ni źdźbłem nikaj nie zachybotało, wszyćko stało w deszczowej mgle, kiej zaczarowane.

Skoro tak szerokimi kroki, wspinając się na niewielki brzyżek, nabliża się ku gruszy, coby się pod nię schronić, naraz aże przystanął, niby obces za ramiona uchycony.

...I pokiel-że tego będzie? Pokiel dzień na dzień będę uciekał ode wsi, od ludzi, od roboty? Dy tak ostać nie może!

Długo jeszcze potem, oparty ramieniem o pień gruszy, ważył w głowie swą ciężką dolę. Niczego wymyśleć nie wydolił, porada nie przychodziła nijaka. Krwawa udręka go żga, odżenąć się nie daje... Niepodoba strzymać takiego życia... Dy błąd rozumu się chyci... Cóże tera robić?!

Hen, daleko, w nizinie wieś mrocznieje w mglistej szarości, głowiaste wierzby na najbliższej polnej drodze toną w wilgotnej mżycy, koleiny od deszczu błyszczeć poczynają białymi pasami. Z kościoła, z pośród starych lip jęknęła sygnaturka na poranną mszę, wóz kajsi w dole zadźwięczał żelaziwem, na miedzę u granic wyszedł ktosi z brzemiączkiem na plecach, do ziem nachylony.

Patrzą przed się szeroko oczy Walkowe, a nie widzą... Jakby po przez zamglony świat wylatywały kajś dalej, ku przyszłej doli, akurat tak zasnutej, jako i wszyćko dookoła. Tymczasem postać schylona z brzemiączkiem na plecach raz wraz nabliża się, rośnie. Jakasi

kobieta kiejby z chustami do rzeki... Aleć nie tędy dróga...

Może o jakie dwa stajania przystanęła, podrzuciła brzemię wyżej ku karkowi, ściągnęła na nowo węzeł pod brodą i uszedłszy jeszcze co nieco, pojrzała przed się...

Walkowi ognie buchnęły do głowy.

— Rety, Magdusia!...

I ani się spostrzegł, kiej pędem porwał się ku niej. Zabaczył w te razy o wszyćkiem, co się podziało u nich w chałupie, o strasznym jankorze Goduliny, o swej krzywdzie, o dniach śmiertelnej udręki....

— Magduś, a kajże to idziesz? W taki czas...

Ujrzawszy go tak nagle przy sobie, aże na nogach się zachwiała. Oczy szeroko rozwarła, lica jęły blednąć.

— Waluś?... haw?.. Niespodziałam się... rety!...

— Kajże idziesz?

— Kaj idę? A kajżeby? We świat... Matusia wyżenęli z chałupy... Nijak ostawić nie chcieli... Ale se nie krzywduję... Po sprawiedliwości...Objęłam nogi, padłam naziem... pożegnałam na wieczność... Na oczy już e

widzieć mię nie chce... Wydarła rękę, kiejem ucałować chciała na ostatek... Tyla ino, co nie przeklęła... Nie krzywduję se... Godną miałam pokutę... Kiej mnie biła, anim pisnęła, nastawiałam plecy w cichości... Ręce, nogi całowałam... Tera we świat...

Lica we łzach ukryła w zapasce, okrutna żałość szarpała nachylonemi pod brzemiączko ramionami.

— Cichojże Magduś — ozwał się Walek jakimś nieswoim, złamanym głosem — cichoj ... nie płacz... Chodź hań pod gruszę... Obeschniesz ździebko... cichoj...

Wziął ją za rękę.

— Chodź... cichoj... utul się...

Dała się wieść, kiejby od tego płaczu i bólu do krzty z mocy opadła. Przystanęli pod grubym pniem; Walek zdjął z niej brzemiączko i złożył na suchej jeszcze murawie.

Ni słówkiem się nie obezwała. Zapatrzyła się we wieś... Cichuśkie, jasne łzy lały się po jagodach.

Walka do cna w gardle zatkało. Raz wraz usta otwierał, kiej ta ryba na brzeg wyrzucona... Nie wiedział, co przódzi rzec...

— Magduś... — zagadnął na ostatek — prawda-li to?... rzeknij sprawiedliwie... Miłujesz tamtego?... Jako-że to ś-nim było?... kiejś jechała haw... żegnał cię... abo jak...

— E, nie żegnał, nie... Ze sześć niedziel przódzi pojechał do zagranicznych gór... na całe lato...

— I tak cię ostawił? Nic ci nie pedział?

— A nic... Abo to sam co wiedział?

— Jako-że : nie wiedział?...

— Kiej się spostrzegłam, już go nie było...

— I takeś go straśnie zalubiła?

— Eh, co ta gadać... Abo uwierzysz, co rzekę?...

— Juści, uwierzę... Nic ci nie zrobię... zalubiłaś go?...

— Ani zalubiła... ani co... Ot, chodził cięgiem za mną, kiej państwa nie było... ostawał... świadczył... różności znosił... Abo wiem, jako się stało... Pan Bóg opuścił... dur padł na głowę...

Patrzał w ziemię, gryząc wargi do krwi. Piersiami robił, kiej po wielgachnej, ciężkiej dródze... Naraz obu kułakami co ino siły przycisnął oczy...

Długa cichość zaległa. Ino drobniuśki deszczyk szumiał dookoła, a grube krople, odrywając się od gałęzi, puckały im z góry na głowy i ramiona.

Wtem posłyszał proszące słowa:

— Waluś... ale na mnie czas .. pójdę...

Pojrzał na nią nieprzytomnie.

— Pójdziesz?...

— Juści, do kolei... szłam obdalno, coby wsiowych nie zdybać...

— Pójdziesz?! A ja?! cóże ja?! — wydarło mu się nagle z okrutnym bólem, jakby prosto z samiusieńkiego serca.

Kiej ten kłos spodem podcięty, w te razy złamała się w sobie, aże kolan chłopaka sięgając.

— Daruj, Waluś... jęczała — odpłaciłam ci ja się straśnie za wszyćko... za miłowanie... za tyla dobra... Daruj... zabacz o mnie... co rychlej zabacz... Niech cię Pan Jezus ma w swojej opiece... niech ci da najlepszą dolę!... Pójdę!...

— A ty se rachujesz, co cię tera puszczę? Tera, co juści sama ręka boska wiedła cię

haw, prosto na mnie?!... Nikaj nie pójdziesz ze wsi!...

— Kiej mus mójeśty, matuś wyżenęli...

— Ale ja nie żenę!...

Przetarła raptem obu dłońmi zapłakane jagody. Cofnęła się o krok.

— To tybyś... mnie brał?!... Rety, Waluś...

Poweselało mu lice, zajaśniało okrutną dobrością.

— Cichojże, cichoj... Dy mi te ślepia śliczności wypłaczesz... Chodźwa, pokiel się na piekne nie ozdeszczy... Ja brzemiączko bierę...

Dziewczyna, widziało się, oniemiała do krzty. Trzęsła się jak w febrze.

Zeszło jakie trzy pacierze. Ostawili gruszę spory kawałek za sobą.

— Waluś... — zaszeptała — tak-że to mnie miłujesz?... Adyć nie wartam dobrego słowa od ciebie... adyć użem kiej ta ostatnia...

— Cichoj, nie pleć byle czego... Samaś dzisia, sierota, we świat wyżeniona... i nie miłowałbym?...

— Waluś... Waluś... dy mi się serce ozpęknie...

— Rety, a utul-że się niebogo!... Jutro...

by ino najrychlej... daję na zapowiedzie... Nikto cię już nie wyżenie...

Przygarnął ją do siebie i szli wilgotną miedzą ku wsi, prosto na chałupę Goduliny. Walkowi jak nikiej letko było na sercu. Zdało mu się, co nie po ziemi na własnych nogach stąpa, ino się górą niby na skrzydłach niesie...

Naraz dziewczyna przystanęła. Przytrzymała go za rękę.

— Cóże Magduś?

Podniosła pokorne, zawstydzone oczy:

— Waluś...

— Cóże sieroto?... co?...

— A to małe... jak Pan Jezus da... nie ukrzywdzisz?

— Jabym ukrzywdził?!... Twoje?!...

STRZELEC BARDĘGA.

Siła było we Wrzosach chłopa — hej, kiela roków temu — co woleli parać się z fuzyją, nocą w bór „na zasiadkę“ się wymykać, sarny i zające bić, niźli chodzić za pługiem i w stodołach młócić. Ba, nie dziw: lud był lasowski, do fuzyji zrodzony. Gospodarskich obrządków to po prawdzie baby więcej pilnowały, a strzelby nie imali się tylko przyżenieni z obcych wsi: ci nikiej prochu nie wąchali, ani się im za lasem cnęło. Wiadomo, pośledniejszy naród...

Co ta wtedy la Wrzosowiaka było ustrzelić sarnę, zająca, ukryć toto w prześpiecznym schowku, żydowi z miasta przedać, a leśnych ćmić i jeszcze na pośmiechy podawać. Juści, niejednemu przygodziło się na sześć abo osiem niedziel do kreminału się dostać, ale skoro go wypuścili, a zaleciał go żywiczny, pachnący

wiatr, przódzi, zanim do chałupy, szedł w las szukać swej ukrytej jednorurki. A jak ją znalazł, witał się ś-nią czulej, niźli z rodzoną babą. Potem rabsicował dalej, ino chytrzej, coby na ręce leśnego, abo ziandara nie popadł.

Cyl w oku każden miał od urodzenia. Już małe pastuchy, a nie chybiały z procy do wróbla, czy sikory wele chałupy, a w lesie do dzięcioła, wspartego ogonem o pień. Nie pudłował żaden wrzosowski chłop. Ale, jak zapamiętać, nie było we Wrzosach strzelca nad Jacka Bardęgę. Ten, to żeby prawdę rzec, jeszcze się dobrze do sarny nie złożył, ino tak, od niechcenia, uniósł se nieco prawe ramię, a siaft*) do lica przyłożył i pociągnął za cyngiel — a ona ci już na przednie nogi klęka i w te razy wali się na bok... A w las to szedł nie bez mus, że grajcara było w chałupie potrza, la prefitu, ino że nijak mu było przez lasa wyżyć.

Hej lesie zielony, lesie cudny wszędy,
Słodkie twoje śpiewanie, słodkie twe gawędy

---

*) Osad strzelby.

Żadna we wsi dzieucha, ni organy żadne,
Śpiewają i grają takie piosnki ładne...
Kiej ino cię uźrę, serce się raduje,
W iesiem ja u siebie, jak dziedzic poluję...
Dobrze będzie człeku, skoro pomrze, w niebie,
Ino czy mi niebo obstoi za ciebie?

Taką se on przyśpiewkę ułożył jeszcze za parobskich czasów.

Fantazyją miał ten chłop nikiej ślachcic. Założy się o choć co: o kwartę gorzałki — ba, mało; o korzec żyta — mało; o prosiaka, o barana, że trefi jaskółkę w locie, gołębia koziołki magającego, co ta chciał: i zawdy trefił.

A nie bojący to był jak żaden drugi we Wrzosach. Wiedzieli wszyscy: i jaśnie hrabia i pan leśnica i leśni, że najpierwszy rabsic — ale bo się to dał na tem przydybać? Toć śmiały był wszędy, jakby nigdy nic. Pan leśnica po prawdzie to go i lubił. Jedzie, bywało, bryczką czy na koniu bez wieś do miasta, abo do pańskiego pałacu z raportem — a Bardęga kłania mu się magierką:

— Pochwalony!

A pan leśnica:

— To wy, Bardęga, jeszcze wolno chodzicie po świecie?

— A juści. Jakożeby inaczej?

— No, no, pewnie już nie długo. Wnet mi was z fuzyą moi ludzie na leśnictwo przywiodą. Obiecałem im od siebie po piątce dla każdego, a pan hrabia i więcej dorzuci...

— Adyć ja im sam po pięćdziesiąt śrybła na rękę wyłożę, kiejby ino wydolili. Niechta mnie z fuzyją bierą!

A miał ich dwie: obie schowane w galanto ocembrowanych dołkach pod płotem, na obejściu. Z wrzosowskimi zaś leśnymi smyślnie se poradził, aże do śmiechu: nie oni jego, ino on ich na rabsictwie przycapił. „Słychajcie Wojciech (mówi do jednego przy tej okazyi), po dobrości wam rzekę: abo się zaprzysięgniecie, że mi w lesie nie będzie gawędzić, abo powiążewa was, jak się patrzy i na leśnictwo na postronku, kieby cielę, pożeniem. I służbę stracicie, i do hareśtu was zaprą, skoro was zdam, bo i świadki są niedaleko... Jako-że chcecie? Wola wasza...“ Tak se dał radę i z drugim. Obaj się zaprzysięgli, jak Bardęga chciał, — i tak ostało. Potem już

prześpiecznie on rabsicował swoją drogą — oni swoją — i było dobrze.

Ino raz, kiej jeszcze żeniaty nie był, najadł się okrutnego strachu. Było to przy cmentarzu, nocą, na pełni. Idzie, a tu o jakie dwiesta kroków wysmyknął się z żyta zając, stanął słupka pod murem cmentarnym i rozgląda się wkoło. W oczymgnieniu złożył się, wypalił: mój zając łbem naprzód fik, magnął koziołka i leży. Ano nic. Zaczyna iść po niego — da mu się poźreć w bok — a na lipie, co jej gałęzie za mur przechodziły, cosi białego poczyna głową-nie głową kiwać ku niemu. Lód go obleciał w ten moment od czuba aż do pięt, nogi jakby w ziem wrosły. Nijak mu oczu oderwać od białej głowy: wykapana twarz starej hrabiny, co łońskiego roku pomarła. Zda mu się jeszcze na dobitkę, uśmiecha się i przyzywa do siebie. Niżej, w blasku miesiąca, co raz wraz obłoczki przez niego przechodzą, wyrastają ramiona, rozczapierzają się ręce, zwisa białe giezło śmiertelne... Naraz jak wiatr nie zawieje wprost ku niemu, jak cosi nie zajęczy na cmentarzu — rety!! Ani się nie spostrzegł, kiej ostawiwszy zająca, już rwał ku

wsi ze zjeżonymi na łbie włosami, cały mokry od strachu, z okrutnem mrowiem po plecach...

Odtąd nie chodził nocą tą stroną ku lasowi. Brał się innemi ścieżkami — a w lesie nijakich strachów la niego nie było.

Skoro babę pojon, dziecka, jako zwyczaj, wzieny mu się sypać jedno po drugiem, co roku. Kilkoro z tego juści pomarło, ostało i tak przecie pięci zdrowych chłopaków. Chłopak, wiadomo, ojcowa radość: ale jak mu potem dał Pan Jezus dzieuchę, rad był jej strasznie, bo (powiadał) rabsiców we Wrzosach dość, a dzieuchy duchem potrza, coby w gospodarstwie matce dospomagała, bo do krzty się wszyćko zaopuści, kiej ojciec z chłopakami pójdą w las, a gospodyni nikogo swojego do wyręki nie będzie mieć w chałupie.

Chrzciny też małej dzieusze wyprawił sute, z piwem, wódką i breweryją okrutną, niczem pierworodnemu. Ochota się w nim rozhulała, fantazyja ponosiła, że widziało mu się, cały świat jego.

Ino nie przeznał, jaka od onego dnia z woli Pana Jezusowej dola mu się znaczy, co mu sądzono...

Po powrocie z kościoła, na odwieczerz, zabawiała się w Bardęgowej chałupie kompanija godna; same, co najpierwsze, rabsice, kumotry i krewniaki gospodarza i gospodyni. Kiej im już na izbie okrutny gorąc wysiedzieć dłużej nie dał, a ze łbów kurzyło się galanto, wywaliło się wszyćko do sadu. Baby przyzostały nieco przy dziecku, co się jakosi po gorzałce długo dusiło (bo jej, wiadomo, dostać ociupinę musiało) — a chłopom w sadzie wesoło się zrobiło, aże hej! Ten to — tamten owo — pośmiechy szły raz po raz, przykpinki, beśte-franty, ślepia się śmiały, ozory mełły coraz to ucieszniejsze ambaje*).

Naraz kumoter Grzela, ledwie stojący na nogach, chwyta Bardęgę za łokieć.

— Adyć o co? — pyta tamten.

— O co? Hej, kumoterku!... Uwidziałem ci ja cyl la was... o, hań, przy gościeńcu... Ino nie treficie...

— Jaki cyl?

— Fajny! Ale nijak nie treficie, chocieście to wy, taki strzelec! Hej, człeku, we łbie go-

*) Bajki, głupstwa.

rzała mi szumi, ale rozum swój mam i o zakład z wami nie idę, bo mi was szkoda...

A Jacek Bardęga jak się na to nie obruszy:

— Żeście ochlany — zgoda: ale rękę daję i zakład stoi, że do wszyćkiego, co chcecie, w te razy strzelam i nie chybię!

— E, Jacenty, do wszyćkiego?! Choćby na ten przykład do muchy? ha, ha! — Co też się wam plecie! — wtrącił drugi kumoter.

— Nie o musze ja myślę — Grzela na to — ino... widzicie ją?... o tej chrzcinie*), co Pan Jezus frasobliwy hań, na figurze, w ręce trzyma... Treficie w nią lotką, coby się ozczypała?

Podparł boki Jacek Bardęga, przechylił głowę, brwi zsunął; mierzy bystro odległość od figury. A było ze sto kroków, może więcej.

Nagle zwraca się do Grzeli:

— A o co zakład?

— Dy wam mówię, że mi was szkoda.

Ale Bardęga nastawał dalej:

— O co? powiedajcie!

Grzela wzruszył ino ramionami.

---

*) Trzcina.

— O co żywnie chcecie...

Na to Bardęga:

— O waszego kasztana licowego, ręka, hę! Jak chrzcinę rozłupię — kasztan mój; a jak nie, to moją siwą sam wam do stajni przywiedę. Zgoda?

— Niechże będzie!

Plasnęli się w dłonie, jak na jarmarku.

— Poczkajcie, ino fuzyję dobędę. Akurat lotką nabita.

Poskoczył do schowka przy płocie, przyniósł strzelbę, stanął między drzewami. Naprost, jak strzelił, gościniec i figura.

Dobrą chwilę mierzył. Widać na ambit wzion. Choć setnie pił, ręka mu ani drgnęła. Chłopom z ciekawości dech w piersiach zaparło, oczy latały od Bardęgi do figury.

Huknął strzał.

Bardęga z fuzyją w garści postąpił parę kroków. Przymrużył swoje źbicze oczy, patrzy na cel strzału.

— Ha, ha, kasztan mój! Adyć chrzcina rozłupana do krzty! — i ręką, niby cepem, grzmotnął Grzelę po ramieniu.

— Juści, w te razy rozłupana! akurat! —

wrzasnął odskakując Grzela. — Toćby chyba trza cudu! Chodźwa, panowie kamraty, obeźrymy dokumentnie, z blizkości...

A jednak Bardęga wygrał kasztana. Ino przegrał co inksze, co za sto koni nie obstoi. Za grzeszny strzał ciężko go Pan Jezus pokarał: oślepł. Na drugi już dzień oczy jęły mu mgłą zachodzić, a w parę niedziel to nawet rodzonych dziecek o dwa kroki nie zdołał uwidzieć. Na nic się nie zdały zamawiania, okadzania, ni cudowna woda z sadzawki św. Stanisława w Krakowie, dokąd w maju na odpust zaraz na bezrok zawiezła go baba.

Między rabsicami gruchnęło:

— Kara boska!

Jeszcze miał nad nim Pan Jezus miłosierdzie, pokiel rabsicował w lesie, abo z fantazyji ptaki w locie strzelał. Ale skoro rozzuchwalony swemi niezawodnemi ślepiami, wśród pijanej kompaniji, wymierzył w Jego poświęcaną figurę, juści pokarać go musiał.

I Jacek Bardęga z najpierwszego strzelca, co nie ino we Wrzosach, ale i dalej po wsiach lasowskich szeroko słynął — od razu zrobił się dziad. Dziad-niedojda i tylo. Nie imał się

niczego kole gospodarstwa, bo i jak? Ledwo, że sę fajkę wydolił nabić tabakiem, łyżkę strawy do gęby donieść. W zimowy czas to bez caluśki dzień, bywało, nie rusza się z pościele. Nie obzywa się, nie przerzeknie słowa do nikogo, mało: nie źli się nawet na babę — nic. Żywy trup.

Latem, wiesną, zwlekał się na przyzbę, abo do sadu i z rozwartemi szeroko, niewidzącemi ślepiami przebierał ziarnka różańca, szepcąc Zdrowaśki. Raz, na wiesnę, wybrał się do lasa, obmacując kijem znajome ścieżki i miedze. Gdy już w lesie stanął, a odetchnął pachnącą sośniną, a nad głową zagrało mu ptactwo na gałęziach — rety, co się ś-nim nie stało! Jakby mu w te razy nogi podcięno... Buchnął plecyma o pień drzewa, do krzty z sił opadnięty, a z ślepych oczu, jak mu nie gruchną łzy, jak nie wezmą płynąć po chudych licach, płynąć przez miary, przez opamiętania!...

— Hej, lesie zielony, lesie cudny wszędy... — przypomniała się dawna przyśpiewka.

Staremu rabsicowi mało serce nie pękło. Żyły na szyi, na czole napęczniały kiej po-

stronki, oczy się zakrwawiły... Jak nie rymnie na kolana, a czołem o ziem, jak nie zaszlocha na cały głos — to aże echa wszędy naokół zaniesły się od płaczu...

...Hej, lesie zielony...

Ostał tam do późnego wieczora. Dopiero, gdy bydło na noc spędzali z pastwiska, powlókł się ku chałupie, ciągnąc nogami, jakby dziesięć krzyżyków odrazu przybyło mu na barki.

Był jeszcze potem w lesie parę razy. Ale nie mógł tej męki strzymać długo. Nakoniec pożegnał las na zawsze.

— Bywaj zdrów! Rośnijcie se z Bogiem sosny, jedle, świerki, bieluśka brzezino — szeptał trzęsącemi wargami, obejmując ramieniem pnie sosen i świerków, głaszcząc dłonią listowie leśnego poszycia, a serce skręcało się z bólu w twardej piersi...

— Kiej cię już uźryć nie mogę — to niechże i nie słyszę! Graj se la drugich!...

Minęło roków mało-niewiele, a Bardęga w oczach gdzieś się podziewał, kurczył, sechł, jak ta drzewina burzą obalona, z wyrwanymi z ziemie korzeniami. Nikto by go nie poznał,

skoroby nie wiedział, że to on. Posiwiał, obrósł, za żywa ziemią przypadał.

Raz na odwieczerz, w żniwny czas, gdy wszyscy poszli z sierpami, zwlókł się, dysząc ciężko, na przyzbę. Wiedział, że wnetki będzie już ś-nim koniec. Przed niedzielą wysłuchał go jegomość, olejami świętymi namaścił, na wieczność rozgrzeszył. Rozporządek sprawiedliwy zrobił, wymówił se ino gospodarski pochów — i spokojnie czekał na ostatnią godzinę.

Ino tego dnia akurat już od rana złość go brała na srokę, co raz wraz przylatywała i wedle chałupy, na płocie czy drzewinie, ciągiem mu skrzeczała i skrzeczała niby tę jego śmierć.

I teraz kajś niedaleko znowu się obezwała.

— Ciurnasi cię nadali, gadzie utrapiony!

Podniósł się o kiju, podreptał do wiadomego schowka, gdzie najstarszy jego, Jantek, starą, ojcową fuzyję chował, wydobył ją, odwiódł kurek, wymacał kapslę na panewce — siadł na przyzbie i cichuśko czekał.

Skoro ino strzelbę w garści poczuł, jakby młodość świeżą krwią wpłynęła mu w żyły. Zabaczył do krzty, że śmierć stoi za plecyma,

że chory, ślepy; czatował, cały w słuch przemieniony, jak ongiś na zasiadkach.

W pobliżu ozwał się skrzekot sroki raz, drugi, trzeci.

Drgnął, lecz wnet jakby skamieniał na nowo, z wymierzoną lufą w stronę, skąd głos dochodził.

Sroka przelatywała z drzewiny na drzewinę, juści zmierzając ku obejściu, kiej skrzeczała coraz to bliżej. Wreszcie, zda się bliziuśko, zawrzasła parę razy na tem samem miejscu.

Ślepy rabsic wypalił.

W ten moment po strzale posłyszał o kilka kroków bicie skrzydłami o ziemię i szamotanie się ptaka. Nie chybił, rety! nie chybił!

Chciał się w te razy zrywać, ustrzelonej sroki po omacku szukać, ale już mu nogi nie dały, a w głowie do krzty się zamroczyło.

— Hej, fuzyjecko moja... — westchnął tylko, nie wypuszczając z rąk strzelby.

— O la Boga! ociec z fuzyją?! Toście wy przy chałupie strzelali? i tę srokę, co się haw trzepie, wyście, do cna ślepi, tak po ćmoku zabili?!... Niewidziane rzeczy! cud boski!... Ociec, ociec!! a obezwijcież się!! — wołał do-

rodny, śmigły Jantek, wpadając na obejście z poblizkiego stajonka żyta.

Lecz ojciec milczał. Oddychał jeszcze. Siedział na przyzbie, oparty bezwładnie plecami o chałupę. Głowę miał na ramię zwieszoną, nogi dziwnie w bok podwinięte. Obu sztywniejącemi rękami cisnął do piersi starą jednorurkę.

W ŚNIEŻYCY.

Rozsrożyła się zima. Zbyt długo ziemia, obleczona w białe giezło śniegowe śmiała się do słońca milionami skrzących brylantów, zbyt cudnie marzyła w jasnej poświacie w długie, księżycowe noce, zbyt czysty błękit patrzał z wysoka na nieskończone śnieżne roztocze...

Rozsrożyła się zima. Zaklekotała w sobie siwa kościca, zatrzęsła się od żądzy niszczenia i zagłady. Więc z lodowego tronu hen, na turniach podniebnych, skinęła na swą kumę serdeczną, straszliwą śnieżycę, co przyczajona wśród skalnych przepaści dyszała niby zły pies na uwięzi, czekając chwili wyzwolenia.

Spuszczona z łańcucha, zachychotała jędza z całej gardzieli i wnet skowyt i szum złowrogi zaczął przeciągać po nieprzejrzanych dalach. Jęły łamać się nagie, czarne gałęzie, padł lęk na głodne ptactwo i dziką zwie-

rzynę, co wyszła z lasów na żer. Ale za mało byłoby zemsty za dni promienne i srebrne noce. Jaśniał jeszcze przeczysty błękit, złoty uśmiech słońca nie zamarł.

— Zmierzchu, żałoby, całunu! — zawyła.

Więc zaraz usłużne wichry - gońce jęły ciągnąć za szare wełny leniwe, kudłate cielska chmur śniegowych i targać z nich puchy obfite, które wnet zamroczyły niebo i ziemię, sypiąc się i sypiąc bez końca...

Rozwierały powieki szare, sieroce dni, układały się do snu długie noce, a śniegi leciały wciąż z wysokości, jakby na wieki chciały przysypać wszystko, co żywie i dech gorący w piersiach nosi. Pola, gościńce, płoty, krzaki utonęły w śnieżnej topieli, a wicher idący od wschodu porozdzierał białe równiny, wydarł z ich łona wały śniegowe, kopce, grzebienie, zadął śniegami przepaściste jary i parowy. Z niektórych drzew przydrożnych sterczały tylko konary i gałęzie — pnie pogrążyła zawieja. Wszystko na chłopa i głębiej zapadło pod onymi garbami śniegu i szerokiemi wydmami, pod zamiecią straszliwą, wszystko

mściwa ręka jędzy-śnieżycy zagrzebała, pogrążyła, wkopała głęboko, jak w grób.

Wsie jakby posnęły, czy zastygły w cichej martwocie. Chaty zapadły w śniegi po okna. Człek też nie opuszczał zagrody, ani ze wsi wyjeżdżał; w cichości chciał przeczekać dopust boży, aż śnieżyca odleci hen za siódmą górę, za dziesiątą rzekę i słonko jasne wytoczy się na niebo.

Puszczał się ino w drogę, kogo mus wyżenął. Poszła i gdowa Walaska rano do miasta, powlokła się w trosce okrutnej, we łzach i żałości. Twardy ją mus przyniewolił: trza było chować chłopaka, co pomarł w mieście w szpitalu; trza było iść za nim do mogiły, pogrześć go, grudkę ziemi cisnąć na trumnę, pacierz za duszę odmówić i ostawić hań, daleko na wielgachnym, kiejby miasto jakie cmentarzu, na wieczny czas ostawić.

Nikt z nią nie poszedł; bo i po co? Wiadomo, gdowa i komornica chudobna do tego.. Za cóże pochów, jak się patrzy, sprawi, czem za konie gospodarzowi zapłaci, skąd weźmie na poczęstunek dla krewniaków i kumów? Ot, sama jedna, jak ta wierzba na rozstaju,

jak ten kamień wyciśnięty hen, w ugór daleki...

Powlokła się o szarym świcie, brnęła wyżej cholew w śniegu, aż w drodze dojechał ją mleczarz, przysiadła się na sanie i dostała się do miasta.

A teraz oto wraca, wraca...

Już się ma ku wieczorowi. Ale mdła jasność stoi jeszcze nad światem, prześwieca wskróś tumanów walącego z góry śniegu. Kobieta, choć okrutnie kopno, gościniec zasypany do krzty, kolein ani śladu, brnie wytrwale przed siebie i zwolna ubywa jej drogi. Byle ino sił wystarczyło, bo nie uszła ani mili, a pot gorący oblewa ją całą, nóg już nie czuje i dech jej raz wraz zapiera. A żal i tęskność mocy nie dodają... W oczach ino łzy i łzy, w sercu ból i płakanie, na piersi ciężkość okrutna, niby zmora.

Na gościńcu coraz większe zaspy, coraz wyższe grzbiety śniegowe, że nijak je przebyć. Wzięła się więc od siebie i poszła „brzyżkami" górą, kędy wiatr zesuł śniegi w dół. Ślizgota miejscami okrutna, śnieg bije w oczy zaciekle — ale mniejsze zaspy i droga do wsi bliższa.

Przystawała chwilami, odwracała się plecami od wiatru i patrzała wskróś lecącej na ukos zamieci ku miastu, gdzie pochowała w ziemi na wieki całe szczęście, całą pociechę żywota, swego Jaśka drogiego...

I jawiły jej się na moment w białej zawierusze siwe oczy Jaśkowe, patrzące tak miłosiernie, gdy ostatni raz, jakby śmierć czując nad sobą, żegnał się z nią, ręce matczyne całował i żalił się, że już pewnikiem więcej jej nie obaczy. Trzynaście ino roków przeżył chudziaczek na bożym świecie, zawdy taki la matki dobry, wysłużny, wyręka w każdziusieńkiej pracy, a przy ostatku już nikiej parobek, co niejeden grosz zarobiony do chaty przyniósł i biedę matczyną koił.

Patrzą w nią ciągle oczy Jaśkowe z wychudłych, bladych lic, czuje uścisk jego ręki, pocałunek warg rozpalonych... To znów widzi jego jasną głowę, jego postać chłopięcą, szczupłe barki w białej odświętnej świtce... Oj, Jaśku, Jaśku, chłopaku ty serdeczny!...

Krótkę chwilę ino szła za jego czarną, szpitalną trumienką. Z kostnicy ludzie duchem ją wynieśli, ksiądz pokropił, a potem

gnali ze dwa pacierze po szerokiej, odmiecionej drodze, później brnęli przez nowy cmentarz i ani się spostrzegła, kiej przystanęli, założyli sznury i trumna wpadła w śnieżny dół głęboko, głęboko, niby na same dno tej świętej ziemi... Ani też dziad nie zadzwonił jak się patrzy, choć sprawiedliwie zapłaciła. Ozwał się dzwonek cmentarny pod żelaznym, trzęsącym się daszkiem, gdy ksiądz trumnę kropił, potem jeszcze jęknął parękroć, gdy ją ponieśli — i już ucichł, nie wydał więcej głosu, ino wiatr grzmiał w rozsochatych konarach starych sosen, szarpał nagiemi gałęziami lip i brzóz, a trzeszczał i skrzypiał w konarach. Zawieja leciała górą, śnieg bił po twarzy i oczach i spływał razem ze łzami po licach...

I oto teraz, gdy idzie tak zagubiona w lutej śnieżycy, zda się, że znowu słyszy skądsiś z wysoka to tęskliwe wołanie dzwonka, że ono leci nad jej głową, jak ptak... Juści, grzech płakać za tem, co już ziemia święta przykryła, ale kiej serce matczyne nie zdzierży, oczy matczyne nie nakażą łzom, coby ustały...

Kobieta cała duszą utonęła w odmętach

swej niedoli i żalu. Szła ledwie przytomna w pomroce czarnych myśli i przesmutnych zwidzeń, jak w tym tumanie śniegowym, co ją raz wraz zasypywał i oślepiał. Bezwiednie minęła pierwszą wieś, obszedłszy ją bokami, walcząc z zawieją i trzymając się pagórków nad wąwozami.

Siwe oczy Jaśkowe wiodły ją dalej i dalej...

Naraz, na skręcie wiatr z furyą ogromną buchnął jej śniegiem w twarz, zasypał oczy, odepchnął w bok. W okamgnieniu zapadła w parów głęboki. Lecąc w dół, uchwyciła się ręką gałęzi krzaku, lecz spadający zeń zwał śniegu, oparty o zbocze, obmarznięty od dołu, wbił jej w policzki tysiące ostrych szpilek, głowę zasypał i, zda się, pogrążył jeszcze głębiej...

— O Jezu miłosierny! Ludzie ratujcie!...

Lecz wołania rozpaczne przepadały w zamieci bez echa. Porywał je wiatr i ze skowytem i przedrzeźnianiem rozwiewał wskróś zasnutych śnieżycą dali...

Mijały długie, długie chwile. Świat omroczał i po białych równinach jęły się kłaść smugi fioletowe. Szła noc. Wiatr z dyszącą już słabo,

zmęczoną piersią ułożył się do snu na śnieżnej pościeli. I cisza głęboka, nieobjęta jak wieczność, wyciągnęła przed się dobre, błogosławione ręce, niosące pokój i wieczne ukojenie.

Białe, leciuchne pasma śniegu opadały jak sen na ziemię oniemiałą.

LEGENDY.

LEGENDA O JAGODACH.

Hej, za dawnych to było czasów, za bardzo dawnych, kiej naród wsiowy jeszcze w niziuśkich lepiankach, by te nory krecie, siedział, przez kominów, podłogi, przez szyb w oknach i nijakich statków na izbie. Nie było miast, nie było jarmarków, niceś nie wyniósł przedać, niceś nie kupił; co kto z pola zebrał, to zjadł, a skoro nastał przednówek, to chudobne ludzie i dziecka maluśkie padały z głodu, jako te muchy na jesieni. Gospodarze już byli, a juści, ale tych przednówek się nie imał, bo każdy ostawił se zawdy dość zboża i ziemniaków na głodny czas, a nocami złe psy wypuszczał, coby mu się zaś kto do tego dobra nie zakradł. Ale wszelakiej chudzinie kole świętego Jana bieda była straszna. Chytało się

toto z głodu wszyćkiego: grubej trawy, młodej kory z drzewiny, abo i słodkich korzonków.

Pomarł raz chłop i ostawił gdowę z dwojgiem dziecek. Chłopakowi minęło cztery roki, dzieucha miała trzy. Był ciężki, długi przednówek. Pokiel kobieta moc w sobie miała, co rano szła do pola na robotę, a na wieczór miłosierny gospodarz kazał swojej babie wsuć jej za to do zapaski co nieco pośledniejszego ziarna, abo ziemniaków. Nie dużo tego bywało, ale gdowa była rada, bo miała czem dziecka pożywić, nie bacząc, że la niej mało co ostaje i sama głodem mrze... Ot, serce matczyne!...

Na ostatek do krzty osłabła z tego głodu. Nijakiej już robocie wydolić nie mogła. Ostajała w chałupie, abo wlekła się na przyzbę, siadała, i raz wraz kościstemi palcami ocierała czerwone od łez oczy, co cięgiem patrzeć musiały, jak jej bladziuśkie dziecka na cienkich jak patyki nóżętach, kiejby te króliki smykały po trawie, po grzędach i wśród drzewin, oskubując listki, wydzierając korzonki

i żując toto łakomie, a potem jedno za drugiem przybiegało do niej:

— Matusiu jeść!...

Aż raz, kiej zdzierżyć już tej nędzy nie mogła, myśli se ona tak:

— Nijak już nie zradzę, dospomożenia znikąd, a na głodną śmierć moich dziecek patrzeć nie wydolę... Pójdę ś-niemi do lasa... Jest ta na polanie głęboka woda, cisnę się w tę wodę ś-niemi wraz...

Jak pomyślała, tak zrobiła. Zawołała dziecka i idą. Prowadzi ich ścieżką przez mokrą łąkę. Patrzy: w wysokiej trawie brodzi bociek. Idzie se wolno, nogi do góry dźwiga, a łeb raz wraz przekrzywia, pozierając pilnie między trawy. Naraz zrywa się, podlatuje i już się niesie na szerokich skrzydłach nizko nad ich głowami, a z długiego dzióba zwisa mu ogromna żaba.

— Ej, boćku, boćku — mówi do siebie kobieta, ciężko wzdychając — szczęśliwa twoja dola... Masz co do gniazda swoim małym zanieść... A ja moje wiedę do topieli...

I z okrutnym bólem poziera na dziecka, co

się kole niej wlekły, na ich chude gębusie, oczy zamarte, zbielałe i sino podkrążone... W lesie miły chłód, sosny pachną, ptactwo raduje się, wyśpiewuje : juści nie głodne.

Usiadła pod drzewem, przygarnęła swoje biedoty, tuli ich głowiny do serca.

— Matusiu! — ozwie się maluśka dzieucha czy juże na wieczór się ma, abo co, bo jakosi czarno robi mi się przed oczami... ojej, coraz czarniej... dy was nie widzę!... matusiu!...

I bezwładna osuwa się matce na kolana. Wyciągło jej rączki i nóżęta, i ostała tak sina, z przymkniętemi do połowy oczyma, jakby przez życia.

— Rety! adyć niebożątko z głodu zamiera! — przelatuje kobiecie przez głowę straszna myśl — i jak nie zacznie z całej duszy, z całego rozdartego serca matczynego błagać, modlić się i wzywać imienia boskiego :

— O Jezu miłosierny ulituj-że się nad onem niewinnem pisklęciem! Nie dozwól jej haw marnie zamrzeć, jako i najmniejszemu chrobaczkowi przez woli Twojej świętej zginąć nie dajesz... Miej miłosierdzie, dospomóż, Jezu, Jezu...

Wtem poczuła, że chłopiec łapie ją za ramię:

— Pojrzyjcie ino matuś hań, w głęboki bór.. Cosi jasne tamoj idzie, kiejby kto łuczywo niósł... Patrzajcie, jaka jasność... Rety!...

Patrzy przez łzy — troi jej się wszystko przed oczyma — ale chłopak prawdę powiada: jakaś jasność prześwieca pośród pni, raz wraz rośnie i wprost ku nim sunie, a dołem po rdzawem igliwiu płynie coraz bliżej szeroki, świetlisty krąg...

Dreszcz trwogi wstrząsnął kobietą, bo w tym momencie stała się rzecz jeszcze dziwniejsza: naraz w całym lesie zrobiło się cichuśko, jak podczas Podniesienia. Ptactwo zamilkło, wiatr przestał szumieć po wierzchołkach. Ani brzęk muchy nie zamącił ciszy...

Nagle jasność zniknęła, a przed niemi stanął, jakby z ziemi wyrósł, siwy staruszek. Płótnianka na nim jak śnieg biała, lica słodkie, łagodne, pod siwemi brwiami oczy jak niebo...

— W ciężkiem utrapieniu wzywałaś mnie biedna matko — ozwał się miłościwie — więc przybywam z pomocą tobie i wszystkim sierotom. Oto rozsieję po lasach i borach taką

moc słodkich jagód, że już nie będziecie głodem przymierać na przednówku...

To rzekłszy, począł zwolna iść w las, siejąc ręką szeroko dookoła, a za nim po ciemnem, leśnem podłożu sunął krąg nieziemskiej jasności...

. . . .

Już słoneczko do krzty zatonęło w czerwonej zorzy, a w lesie pnie drzew jęły szarzeć i czernieć, gdy kobieta, dotąd niema i zdrętwiała z trwogi, zachwytu i radości, pojrzała przed się przytomnie. Pod drzewami, wokół wysokich paproci, wszędy, gdzie została odrobina ziemi, nie przysypana igliwiem, aże czerwieniło się i czerniło od nieprzeliczonych jagód, których dotąd nigdy w lesie nie uświadczyła...

Nakarmiła niemi zaraz dzieci, sama się skrzepiła i do zapaski nazbierała tyle, że ledwie unieść mogła do chałupy.

Tak to powstały jagody: zasiał je sam Pan Jezus, by od biednych sierót odżenąć srogi głód na przednówku.

LEGENDA
O KŁOSACH ZBOŻA.

Nie zawdy tak było na świecie, jak dzisia, co każdy narzeka na ciężkie czasy, na podatki, a biedak wędruje hen, za morze, kóli zarobku, bo we swojej wsi wnetkiby ostatnią parę puścił przez kawałka chleba. Nie zawdy baby labiedziły, że dzieckom niema co na przednówku w gębę wrazić, a Pan Jezus ciągiem dziecka daje i daje: jedno jeszcze nie chodzi, a już drugie wrzeszczy w kolebce... Nie tak za dawnych czasów bywało, ale to za takich dawnych, co pradziadowie nasi ich nie pomną, ani nawet ich pradziadowie, co ś-nich już w świętej ziemi ani kosteczki nie ostało...

Dziecek było po wsiach zatrzęsienie jako i teraz — ale przednówków nijakich, biedy nijakiej; ludzie se żyli kieby w raju. W lasach zwierza moc, na polach wszelakiego dostatku pełno; we żniwa nie każdemu się nawet chciało wszyćko do cna zeżąć, boby nie miał tego kaj zwieźć; ostawiał la biedniejszych — niech se ta biorą kiej im trza.

Chciałeś jeść mięso — szedłeś do lasa; nijakich praw ni ochron la zajęcy i saren nie wymyślali; za rabsictwo nikt do kreminału ludzi nie wsadzał, bo kto ta o to stał, kiej wszyscy mieli więcej, jak mogli przejeść. Chciałeś chleba, pszennego placka — miałeś zboża w bród; bo w one czasy do krzty inaksze rodziło się zboże; nie było kłóska u góry, ino ziarno obrastało słomę już od samej ziemi.

Ale wsioski naród, wiadomo, niepomiarkowany, zamiast Panu Jezusowi za łaskę dziękować i żyć pobożnie, nie wadzić się z sobą, ani despetów z dzieuchami i młodemi cudzemi babami nie poczynać — rozpuścił się ano, kiejby ten bat dziadowski. Dzień w dzień każdy se robił święto; ziemia rodziła aże za dużo,

toć chleb rozbódł wszyćkich: dokazowali, bili się, baby co świarniejsze bez gwałt se wydzierali. Krew i fantazyja w nich grała — rety!

Raz, przedeżniwy, przechodził Pan Jezus z Matką Boską bez taką rozswawoloną wieś. Szli polną drógą od lasa, potem wzięli się w bok ku kościołowi i weszli do środka. Była niedziela, ksiądz odprawiał sumę przed wielkim ołtarzem. Ale w kościele pusto, ino kilka starych, pomarszczonych bab i siwych trzęsących się chłopów klęczało, modląc się nabożnie, że to już w starości każden o marnościach świata zapomina i z grzechów się kaja, miarkując, że śmierć już niedaleko, za grzdykę chyci i nijak się od niej człeku nie wyprosisz.

Pomodlił się Pan Jezus i Matka Boska, suma się skończyła — wyszli.

Idą drógą, idą łąkami, miedzami wśród pól, a wszędy naokół żyto na chłopa, pszenica setna, jęczmiona grubaśne, aże hej! Z pod strzech wszędy się dymi: juści obiadują; kajindziej dziecka się bawią przed chałupami; umorusane jako i dzisiaj — ale spaśne, krew z mlekiem; dziewuchy jak łanie, czerwone na gębie, kosy po kolana, postrojone; parobcy, a i że-

niate chłopy zaczepiają je, szturchają, obłapiają w pół, całują po licach, a ślepia im się skrzą kiej żbikom. One też temu rade, nie sromają się nic, a chichocą i udzierają się, aże echo niesie. I tak wszędy: w sadach, na obejściach, w jasny dzień, w połednie, przez nijakiego wstydu.

Nikta się wędrowców nie spyta: coście ludzie za jedni, kaj-że idziecie? Nikt nie poprosi: wleźcież do chałupy, pojedzcie, popijcie, abo odzipnijcie w cieniu pod jabłonkami po dalekiej dródze, bo na świecie skwar, gorąc okrutny... Wszyćko ino się gzi a pośpiewuje, a ociera łokciami gęby z maszczonego jadła, aże tłustość po brodach ciecze — i dalej do zberezeństw i swawoli.

Chwali Pana Boga przechodząc Pan Jezus, chwali cichuśko Matka Boska — poniektóry odmruknie: „na wieki", inszy ani się nie ozwie. Idą tak i idą, aże natrafili na chłopa juści leciwego, ale kraśnego na licach, krwistego jak jendór, wypasionego galanto; gęba mu się świeci, kiejby spyrką wysmarowana. Stoi se przedewroty, kurzy fajkę, plując przed się raz po raz przez zęby.

— Pochwalony! — mówi Pan Jezus.

— Pochwalony! — mówi Matka Boska.

A ten jak nie podeprze boków, jak się nie zaśmieje urągliwie:

— Ba, a kto? Bo jak mój brzuch, to racyja wasza! A dyć okrągluśki, co szukać takiego drugiego! A chwalcie se go, kiela wlezie, chudziaki!...

Nic się na to nie obezwał Pan Jezus ani Matka Boska, ino w te razy zniknęli z przed oczu grzesznika.

Kiej potem zdala ode wsi przystanęli na miedzy, wśród źrałego żyta, Pan Jezus ze srodze rozgniewanem obliczem ujął od dołu jeden kłos, i ciągnąc po nim palcami ku górze, zdzierał zeń wszystko ziarno.

— Cóże robisz, Synu ukochany? —pyta Matka Boska.

— Matko moja Najświętsza — mówi Pan Jezus -- przeznałem już do krzty niegodziwość ludzką. Mało, że do kościoła nie chodzą, taplają się w grzechach, kiej te prosiaki w kałuży, ale jeszcze przeciwko memu Imieniowi bluźnią. Oto z całego kłosa, co rośnie od samej ziemi, obedrę ziarno i jutro na wszyćkich

polach, hen, jak okiem nie objąć, ani jednego ziarnka nie zostanie, ino szczera słoma. Kiej tacy harni skróś tego chleba, co ich roznosi — to niechże za to z głodu mrą.

Mówiąc to, ręką dosięgał już samego wierzchołka.

Lecz Matka Boska jak nie pochwyci Go za rękę, jak nie zacznie prosić:

— Synu mój, któryś łotrowi przebaczył i jawnogrzesznicy, ostaw choć tę krzynę kłóska u góry. Nie karz ich głodem, bo choć starsi żywota nie warci, ale dziecka biedne, niczemu nie winowate. Weźryj na te maluśkie biedoty, ulituj się Synu umiéłowany nad dziećmi, któryś na ziemi tak je okrutnie nawidził...

Odjął Pan Jezus rękę od kłosa, święte Jego oblicze rozchmurzyło się na wspomnienie dziatek.

Odtąd wszelkie zboża ino na wierzchołku mają co nieco ziarna — nieraz chudy, zczerniały kłos — i ludziom od tego czasu często chleba niedostawało, bo go nie szanowali, kiej jeszcze żyli w sytości i szczęściu.

LEGENDA O GRZECHACH.

...Przódzi, za praojców i pradziadów naszych, to hen, po okrutnych, nieprzebytych borach, w gęstwinach leśnych, cięgiem pustelnicy mieszkali, święte ludzie, jeden w drugiego. Nikta ich we wsi po proszalnym chlebie nie uświadczył na przednówku, ni pod jesień, ni nawet aby w najkwardszą zimę — a żyli se w setne lata, zdrowo i krzepko. Skoro zaś utrapieniec jaki, co ciężka dola, abo winy własne, do ziem go przygnietły, do pustelnika zaszedł, zawdy mógł się przekonać, co świętemu człekowi niczego nie braknie, a jeszcze nieraz, bywało, jaki plaster miodu chudziakowi na odchodnem ot tak, w świętobliwej dobrości ochfiaruje.

Juści, cudem boskim żyli, nie inkszym spo-

sobem. Kajby ta ino samymi korzonkami taki wielgachny, postawny staruch z siwą po pas brodą wydolił się skrzepić. Nieme stworzenia ich karmiły — wiadoma rzecz. Czuły świętego, kiej nieprzymierzający pies dobrego człeka — toć ni wilk, ni niedźwiedź, nic im w boru złego nie robiły, ino jeszcze co który mógł to pustelnikowi znosił. Niedźwiedź kudłacz, bywało, przyniesie w pysku plaster miodu, stanie na tylnych łapach, a na przednich niby ten fagas pański pięknie świętemu on miód podaje. Wiewiórki — hyc z drzewa jedna, hyc druga, trzecia, dziesiąta — znoszą orzechy przed pustelnię z krzyżem świętym na kalenicy, składają toto na kupy, że ino do wora zgarnywać i do komory chować; łanie przychodzą z rozpartemi wymionami i beczą, coby ich wydoił. I tak bez lato i jesień pustelnik przysporzył se wszyćkiego w bród, zrychtował galanto spiżarnię, że bez zimę i na przednówku głód mu nie doskwirzył. Juści, nie obżerał się jako zwyczajny wsioski człek: za łaską Pana Jezusową z małego posiłku chował się zdrowo i Pana Boga chwalił, ludzi zaś, co go nawiedzali, ciągiem uczył i ka-

rętał za grzechy i na niebo pokazował, co go nieraz, kiej z całej duszy się zamodlił, rozwarte widywał.

Jednego razu do takiego pustelnika zaszły dwie siostry. Śwarne jeszcze kobiety, koło trzydziestki starsza — obie żeniate. Po prawdzie to wybrała się ino starsza; dwie niedziele temu pochowała matusię i sumienie straśnie jęło jej wyrzucać, co nie była la niej od samej małości taką, jak się to matce patrzało, co zawdy z serca ją nawidziła, ostatnim kęsem się dzieliła, a nie ukrzywdziła nikiej. Młodsza przyszła ś-nią ino bez ciekawość, coby pustelni i siwemu, bogobojnemu starcowi się nacudować. Nijaki ciężki grzech jej nie uciska — mówiła — nic jej w duszy, na wnątrzu, nie dolega. Ano tak z letkiem sercem przyszła se z siostrą wraz.

Skoro zapukały, pustelnik wyszedł przed maluśką chałupinę; długa zgrzebna na nim szata, różaniec w ręku, głowa siwiuteńka, biała broda w pas, a pod okrutnemi, kudłatemi brwiami mądre, ale dobrotliwe oczy. Juści w te razy pochwaliły obie Pana Boga, obła-

piły staruszka pod kolana i pocałowały w rękę kiej jegomościa.

— Bóg z wami, dobre kobiety — ozwie się pustelnik. — Czego żądacie odemnie? Z czem przychodzicie? Mówcie śmiało!

Na to starsza jak nie rymnie na klęczki, jak nie zapłacze :

— Toli, święty staruszku, łaski się dopraszam, zmiłowania, bom wielka grzesznica, a grzech mój przeznałam teraz dopiero, kiej mi Pan Jezus matusię moją zabrał. Kwardam la niej zawdy była, nieustępliwa, nieraz jej siwe, słodziuśkie oczy na mnie płakały. Pokiel żyła, nie widziało mi się, com taka la niej zła i nieużyta — dzisia, skoro święta ziemia skryła ją na wieczność, zda mi się, błąd głowy się chyci z okrutnej żałości, że się już nijak nie odstanie, com przeciw niej nagrzeszyła, że ją więcej nie uwidzę, ręki spracowanej nie ucałuję... Ciągiem jej smutne oczy, czyste kiej to niebo wieśniane, chodzą za mną, zastępują drógę — ciągiem patrzą i patrzą... Gdybyś święty staruszku za dopuszczeniem Boskiem, choć na godzinkę, choć na moment mógł ją wskrzesić z mogiły, co-

bym ją jeszcze uźreć mogła, coby mi rękę na głowie położyła — widzi mi się, w te razy lekuśko zrobiłoby mi się na sumieniu. Weźryj, ojcze, na moją niedolę, dospomóż utrapionej duszy!

— Pan z tobą! — ozwie się na to pustelnik, dotykając jej czoła. — Wstań i otrzyj łzy... Wskrzesić twej matki nie mam mocy, ale żal twój serdeczny i skrucha mażą twą winę, i wiedz, że w tej chwili duch matki tutaj obecny już ci przebaczył... A ty, druga kobiecino, czego żądasz? Żali także pragniesz grzechy jakie wyznać?

— Nie — odpowie tamta — ja ciężkiego grzechu żadnego nie mam. Przyszłam haw z siostrą bez to, coby się jej nie cnęło drógą.

— Więc nic sumienie ci nie wyrzuca?

— Ano jakiesi ta grzechy są, ale drobne, maluśkie, sama nie wiem jakie.

Zadumał się pustelnik, smutnie potrząsł głową.

Gdy kajała się ze swej winy starsza, świętemu starcowi mądre oczy pojaśniały cichuśką radością ; zaś gdy młodsza rzecz swą wywodziła, niby chmura po źrenicach mu przeszła.

Zrobił nad pierwszą znak krzyża świętego i mówi:

— Idź, córko, na pole, kędy bór się kończy, a skoro ujrzysz jaki wielgachny kamień, co go ino udźwignąć wydolisz, przynieś go haw do pustelni.

Do drugiej zasię powiedział:

— A ty, co masz ino małe grzechy na sumieniu, nazbieraj dużo drobnych kamyków i także je przynieś.

Poszły obie w pole wedle przykazu świętego człeka; druga wnetki zaczęła kamyki znachodzić i duchem zbierała, pierwsza dopiero po długiem chodzeniu napotkała na swój wielgachny kamień i podjęna, ledwie go unieść mogący.

Skoro wróciły, pustelnik się pyta:

— A czy teraz wydolicie poznosić wasze kamienie akurat na te same miejsca, skądeście je przyniesły?

Starsza na to:

— Ja, święty staruszku, dokumentnie pamiętam kaj mój leżał.

A młodsza wzruszyła ramionami i peda:

— Adyć jakżebym mogła spamiętać! Rety, taka moc drobiazgu! Nijak temu nie zradzę...

Wtedy pustelnik im rzecze:

— Oto widzicie moje córki, te kamienie to są jakby wasze grzechy. Ty, która za swój żałowałaś, której spokoju sumienie nie dawało, ażeś do mnie przyszła kóli ulżenia uciśnionej duszy, znasz swoją winę, tak jak i miejsce, skądeś swój kamień podjęła. Jest ci też ona odpuszczona na wieki wieków, bo Pan miłosierny żałującego grzesznika nikiej nie opuści i raduje się skoro się nawróci. Ty zaś druga wiele grzeszyłaś, lecz sumienie twe twarde, nie mówiło ci nic; nie żałowałaś za nieprawości swoje, bo ci się widziało, żeś sprawiedliwa i pokuty duszy twojej nie potrza. Ale zaprawdę ci mówię, łaska Pańska odwróciła się od ciebie, grzesznaś więcej od siostry i skoro pokuty nie uczynisz i nie skruszysz zatwardziałego serca, okrutne ognie czyśćcowe czekają cię po śmierci.

Kiej to mówił, struchlałym kobietom zaczął dwoić się w oczach, urastać w górę — i zniknął nagle przed niemi, choć nie widziały,

coby drzwi chaty rozwierał i wchodził do izby.

Długo modliły się pobożnie, klęcząc na małem obejściu pustelni — a skoro wzniesły oczy, ujrzały, że z krzyża na nizkiej kalenicy, kiejby światłość bić zaczynała...

Wtedy, młodsza, zakwardziała w grzechach, padła plackiem na ziem, ozkrzyżowała ręce, zapłakała żywemu Bogu z całego serca i nijak utulić się z żałości nie mogła.

Aże posłyszała nad sobą słowa:

— Pan z tobą. Idź w pokoju, dostąpisz przebaczenia!...

A kiej poźrała przed się bolejącemi oczami — nie uwidziała nikogo, ino krzyż jaśniał dalej nad pustelnią...

LEGENDA O ZADUSZKACH.

...Smutek ino i utrapienie nęka człeka na tej ziemi. Każdziusieńkiego dnia siła wycierpieć musisz to przy wszelakiej robocie wele gospodarstwa, to w chałupie, kiej ładu i zgody niema, ino się wszyćko na kupie w niej żre, a z pazurami do siebie przyskakuje, a swarzy z zawziętością aże nie do strzymania.

Tyla twego dobra, pokiel ci młodość w żyłach gra. Za nic se masz turbacyje, letko se ważysz swą dolę, fantazyja cię ponosi, kiej źrebca krzepkie nogi, co mu ustać na miejscu nie dają. Ale skoro ino głowa ci siwieć pocznie, a zmarszczki gębę zorzą, by tę niwę pod zasiew wyprawioną, inaczej juże wszyćko sądzisz w swym rozumie, a dola, niby to brzemię

6*

wielgachne cięgiem do ziem cię przygniata. Na cóżeś żył, mozolił się, harował, przede świtem wstajał, przez nijakiej mocy w kościach upracowany ligał na noc po upalnym dniu znoju i udręki!... A takich dni widzisz poza sobą zatrzęsienie, a każdy przez nijakiego weselszego światełka, przez niczego, coby duszę krzepiło!...

I tak zawdy, skoro w ziem patrzysz, a na ludzkie ino losy baczysz: zgryzota, utrapienie i na końcu śmierć...

Ale poźryjno w górę — na wiesnę, w poranną godzinę, kiej skowronek nad niwami się głosi, kiej łąki się kwiecą, a zielona ruń żyta w kłosy strzelać poczyna. Poźryj w niebo jasne, błogo śmiejące się z wysokości. Cosi, zda się, idzie stamtąd ku tobie, czego nijak wyrozumieć nie wydolisz — cosi nie z tego świata, co niby rękę pocieszenia kładzie na udręczoną głowę i niesłyszanym głosem mówi, że hen, wysoko ponad ziemską kwardą dolą dobrość panuje i miłosierdzie, któremu końca niema, jak niema go niebo, co całe światy okrywa i nikaj granic jego nie napotkasz, choćbyś ca-

luśką ziemię tysiącami mil zeszedł, morza tysiącami mil przepłynął...

Abo, skoro utrapienie duszne do krzty cię zmoże, wyjdź w nockę jasną, gwiaździstą na obejście, pozieraj w górę długo, wódź oczyma po mlecznej dródze, zasłuchaj się w tę przenajświętszą cichość nieba, co miłościwie patrzy na nasze chudobne chaty, na nasze krzywdy, sieroctwo, udrękę i łzy... Wtedy przeznasz, co to jest niebo, co to nieprzebrana dobrość boska, co nadgroda za ziemską nędzę... Bo hań w górze ani jedna łza sieroty nie minie przez nadgrody, ani jedna krzywda przez sprawiedliwej pociechy, ni ból i skarga przez wysłuchania...

A skorobyś przez nijakiego grzechu był, tobyś i haw śmiertelnemi ślepiami oglądać mógł miłosierdzie Pańskie i opiekę Matki Najświętszej nad ludzkiem plemieniem.W Zaduszki, w późną noc, kiej już gróbarz zaprze żelazne wrota cmentarza i nijakie żyjące stworzenie wejść już hań nie może, nad mogiłkami suną trzy białe osoby... Jedna wysoka, prosta w cierniowej koronie z kręgiem światłości nad głową — To Pan Jezus; druga ze słodkiem

obliczem litością jaśniejącem — to Panienka Najświętsza; za nimi zasię o parę kroków Anioł z białymi skrzydłami. Dźwiga on na ramieniu godny wór od złota święcący i płynie za Jezusem i Maryją zwolna, w cichości, kiej światło za latarnią. A skoro oni przystaną nad jaką zapadłą, wbitą w ziemię mogiłą — i on staje wnetki zasumowany i czeka. Lecz od żadnej takiej biednej mogiłki nie odeńdą przez niczego i nie ostawią jej w ciemności. Na każdej na rozkaz Pana Jezusa Anioł zapala gwiazdę złocistą, a Matka Najświętsza ze swej sukienki z tęczy utkanej strząsa niteczki białe i niebieskie. A kaj one padną, tam na wiesnę, pośród trawki zielonej, wyrasta cudne białe kwiecie...

Matkom zaś umarłym, co rozdzielone z dziećmi bardzo umiłowanemi, jęczą cichuśko w mogiłach, i żalą się, i tęsknią za niemi — Anioł przynosi ich maleństwa i kładzie pobok, coby się już ukoiły i w słodkiej szczęśliwości tuliły je do siebie po wiek wieków... Cudem boskim obudzone z martwych dzieciąteczka, na nowo żywe i uśmiechnięte, z okrutną radością w niebieskich ślepkach

obejmują rączkami Anioła za szyję — a ten, skoro kłaść je ma kolę rodzicielek kiejby do kolebki, całuje jeszcze przed uśnięciem wiecznem małe głowiny, by se zaś słodziuśko spały przy sercu matczynem...

Taką to ano dobrość i miłosierdzie świadczy Pan Jezus i Matka Najświętsza wszelkiej niedoli i sieroctwu na tej ziemi w zaduszną noc...

[illegible]

Żadnej takiej biednej mogiłki nie ominie przez nikogo i nie ostawią jej w ciemności. Na każdej na rozkaz Pana Jezusa Anioł zapala gwiazdę złocistą, a Matka Najświętsza ze swej sukienki z tęczy utkanej strząsa [illegible] kwiaty białe i niebieskie. A gdzie one padną, tam na grobie, pośród trawki zielonej, wyrosną cudne białe kwiecie...

[illegible] umarłych, [illegible] ukochanemu [illegible] głębach, [illegible] żalą się, i tęsknią za niemi... Anioł przynosi ich [illegible] i kwiaty. Potem [illegible] się już [illegible] i w [illegible] [illegible] do [illegible] Cichemi [illegible] z [illegible] [illegible] na nowo żywe i [illegible] z okrzykiem radości w niebieskich [illegible]

W GODZINIE SZCZĘŚCIA.

Nad ziemią wonna, rozśpiewana noc wiosenna — noc- upojenie! Cała okolica zanurzona w seledynowem świetle, które opływa ją łagodnie, jak radosna zaduma. Z werandy dworu, wznoszącego się na wzgórzu, widać rozległą dolinę. Rozścielają się po niej szerokie smugi srebrzystych oparów. Gdzieniegdzie z tej jasnej topieli dobywają się strzechy chat i szczyty smukłych, samotnych topoli. Dalej na krańcach widnokręgu, rozległe półkole gór. Leżą niby olbrzymki-dziewice z dumnemi, w górę wyrosłemi piersiami, na które patrzy srebrna źrenica miesiąca, jak oko zachwyconego kochanka.

Na szerokie pola, na poczerniałe, nizkie strzechy, białe pasma dróg krętych i wązkich ścieżyn sieją się w uroczystem milczeniu

pyły świetliste. A z ziemi podnosi się nieśmiertelny chorał na cześć nocy wiosennej, dziękczynne Hosanna żywiołów, idące z nizin ku gwiazdom: rechot żabi w sadzawkach, muzyka świerszczy wśród traw i zbóż, i słodka pieśń słowicza, ulatująca z zielonych gęstwin.

Powietrzem płynie czar, upojenie, szczęście, jakby przez te okwiecone sady, nad temi młodemi polami przemknęła co dopiero bogini miłości, roniąc z ust rozchylonych tchnienia rozkoszy. Zda się, że roje dobrych duchów w tej tajemniczej chwili, gdy ludzie, pracą znużeni usnęli, odprawiają wśród jasnych przestworów jakieś święte misterya; że uroczysta modlitwa unosi się w górę wraz z kląskaniem słowika i przedziwną mową łąk i pól; że aniołowie-stróże, zawieszeni wśród jasnych pasem księżycowych blasków, wznoszą dłonie błogosławiące nad uśpionemi siołami i szepcą litościwemi usty:

— Pokój wam, którzy jesteście biedni i spracowani i którzy cierpicie!

...Pokój wam, którzy dźwigacie jarzmo niedoli i trudu!

...Pokój wam wszystkim, których krzywdził dzień!

...Niech sny srebrne otoczą wasze uznojone czoła! Niechaj zdejmą jarzmo trudów codziennych z bark waszych i wprowadzą was do krain promiennych! Niechaj otworzą się bramy rajów wyśnionych przed wami, którzy jesteście biedni i których nękał dzień bezlitosny!...

* * *

— Wyszliśmy z pośród małości życia i stanęliśmy oto w obliczu wielkości, tajemnicy i cudu... — rzekł młody człowiek, wychodząc z towarzyszką na werandę.

— I wobec jakiejś ogromnej miłości, która zdaje się wołać naokół: szczęście dla wszystkich! — szepnęła zapatrzona w gwiazdy, z złotą główką, opartą na jego ramieniu.

— A przecież to złudzenie... Kto usiłował zgłębić istotę rzeczy, ten się przekonał, że tylko czarodziejstwo miesięcznej poświaty i wonny oddech nocy wiosennej dają nam to cudowne omamienie...

— Ja zawsze mam to poczucie w takie upajające, srebrne noce...

— Jednak natura nie chce szczęścia dla wszystkich. Bo gdyby ono stało się udziałem wszelkiego stworzenia, ustałoby życie, a życie to nieskończona, bezlitosna walka. Tonąc duszą i oczyma w tych nieogarniętych, świetlistych przestworach, zdaje się nam, że wszystko śni rozkosznie, nadmiarem szczęścia rozmarzone, a co nie śni, to śpiewa i raduje się. Tymczasem tam, w gąszczach leśnych, albo wśród traw i zbóż, nie ustaje cierpienie, toczą się walki zacięte, pełne zdrad i okrucieństw. Głód i strach, te dwie główne dźwignie świata zwierzęcego, nie wypuszczają berła panowania z rąk ani na moment. Do iluż gniazd skowronków lub przepiórek skrada się w tej chwili chytra łasica, ileż piskląt, usypiających w cieple skrzydeł matczynych, ginie w krwią ociekających paszczach! Tak, bezwzględna walka o życie nie ustaje ani na mgnienie oka, chociaż nad wszystkiem unosić się zdaje błogosławieństwo pokoju!...

— Nigdy mi to jeszcze w podobnej chwili tak wyraziście na myśl nie przyszło... Miałam tylko poczucie jakiejś wszechradości... I ka-

żdy, sądzę, tego poczucia przedewszystkiem doznaje...

— W istocie, takie jest pierwsze wrażenie. Zazwyczaj nawet bywa ono stałem i jedynem, bo piękno natury ma nad myślą ludzką moc czarodziejską. Zanim myśl zdoła zawołać trzeźwo: jestem! już odurzy ją i ukołysze... tę nieszczęsną tułaczkę, wiecznie niespokojną, wiecznie gnaną żądzą odnalezienia choćby jednej iskierki z prometejskiego ognia...

— Nieszczęsna, biedna myśl... Ślicznie powiedziałeś... Niech odpocznie i uciszy się, jak rozpłakane dziecię... Nie rozumujmy już, nie filozofujmy. Zimno mi na tych wyżynach, obco i trwoga serca się ima. W milczeniu poddajemy się czarowi dźwięków w sali koncertowej, — zamknijmy i teraz usta świętokradzkie, bo jednak ja mam wrażenie, że jakaś niepojęta Dobroć roztacza skrzydła nad nami...

— Dobrze, ukochana. Nie sądź, bym i ja, pomimo słów, które powiedziałem, nie czuł w duszy błogości w tej chwili, zwłaszcza... że ta Dobroć ucieleśniona, jest tak blizko przy mnie i zaprzecza swą obecnością wszelkim okropnościom życiowych walk...

— Więc już ani jednego przemądrego słowa analizy, refleksyi. Tam, za temi oświetlonemi oknami zostawiliśmy cząstkę ludzkiego światka, pełnego uprzejmej obłudy, ambicyjek, próżnostek... Było nam wśród niego tak źle i duszno... Teraz zanurzmy się w toni nocy wiosennej, zasłuchajmy w jej pieśń nieśmiertelną... Chodźmy... weź rękę... twoja...

I poszli.

Wchłonął ich stary, rozległy park, cienie wyniosłych drzew, szpalery gęstych krzewów. Szli ramię w ramię równym, rytmicznym krokiem. Zdało się, że jedna fala ich niesie... Z ciemnych głębi ogrodu wypływały na ich spotkanie rozmarzone zapachy, mówiące o miłości. Chwilami zastępowały im drogę krzewy jaśminu, osypane białem, drobnem kwieciem. Czerwone róże, rosnące na gazonach, drżały w uściskach przejasnych księżycowych blasków jak zaczarowane, oddychając sennie, niby szczęśliwe kochanki. Wśród chodników, od krzewu do krzewu przelatywały świętojańskie robaczki, nakształt złotych iskier...

W pewnem miejscu przerwały się krzewy,

osłaniające częstokół — i na chwilę uśmiechnęły się zalane światłem role, nizkie chaty, łąki i białe pasma ścieżek. Tuż przy parkanie rozciągało się stajonko bujnego żyta. Wysokie kłosy falowały pod dotknięciami łagodnego wietrzyka, a najbliższe źdźbła, pochylając się jednostajnie, zdawały się strząsać pyły srebrzyste...

— Pozdrawiają nas... witają... patrz!... — szepnęła.

Do żyta przylegało pole koniczyny. Na listkach widać było gdzieniegdzie perlącą się rosę. Opodal wysiała się kępka maków, gorejących głęboką czerwienią, jakby wyrosłych z łona miłości. Tu i owdzie wystrzelały zrzadka wysokie źdźbła tymotki, cieniuchne i od miesiąca jasne, jak zjawy świetliste.

Na skręcie rozstąpiły się rzędy drzew i naraz wdzięczna postać dziewczęcia wynurzyła się z cienia, jasna i wyrazista. Biały promień księżyca przypadł do jej drobnej twarzyczki, całując rozchylone różane usta i rozświetlając rozmarzone wejrzenie lazurowych oczu. Przylegl do piersi i, drżący ze szczęścia, jął wznosić się i opadać z jej głębokim oddechem.

Wówczas jemu się zdało, że wszystkie blaski, jakie wokrąg się rozlewały, spłynęły do niej, otoczyły ją i uniosły, jak nieziemską istotę. Więc przypadł duszą do jej stóp i objął całą wraz ze srebrnymi blaski, darząc ją anielską pieszczotą.

— Ty dobra... ukochana... święta...

I znowu szli dalej w cieniste ścieżki , na które z pośród gałęzi wybiegały białe nici księżycowego światła, czepiając się, niby pajęczyna, jej złotych włosów. Po chwili znowu wychylali się na odsłonięte, blaskami zasłane miejsca — a jemu znowu śpiewał w piersi przedziwną melodyą refren cudowny:

— Dobra, ukochana, święta...

Nie wiedzieli, jak długo błądzili po tym zaczarowanym ogrodzie, niby para duchów szczęśliwych. Wstał wiatr i począł przynosić w cieniste aleje chłodne podmuchy z gór. Po rozsrebrzonych błękitach jęły żeglować białe obłoczki, rzucając raz wraz lekkie zasłony na krągłe oblicze miesiąca. Chwilami omdlewały powiewy wiatru, uciszały się rozśpiewane pola, łąki, gąszcze przyziemne,

żab pełne sadzawki — i cisza płynęła nad ziemią, jak ukojenie.

Naraz nieznana fala błogości wniknęła mu do serca i błysk olśnienia roztoczył przed nim jakiś przestwór niepojęty. Dostąpił łaski spojrzenia w głąb...

...Tak... nie tylko z tej strony jest prawda, po której kroczy rozum i analiza... Oprócz wyraźnej mowy rzeczywistości jest inna, którą tylko serce w pewnych błogosławionych chwilach pojmuje... Niewysłowione szczęście, gdzie dwie dusze splatają się w uścisk miłosny, jest tak samo rzeczywistem, jak nieustanna walka w naturze. I rzeczywistem jest w takiej chwili boskie tchnienie Nieskończoności...

Oto poczuł je wyraźnie — łagodne i miłościwe... Dusza westchnęła w zachwycie...

— Najdroższy, w oczach twoich łzy... — zaszemrały przy nim trwożne słowa.

Objął dłońmi jej głowę i przytulił do piersi.

— Dziękuję ci na wieki... Przez twą miłość przeżyłem wielką chwilę, jedyną... Otworzyłaś mi oczy i serce... Przejrzałem... Ponad rzeczywistością, którą oglądamy, jest inna,

wyższa, w celach niezbadana... Upojony jestem i szczęśliwy... Serce twe dobrze odczuło: stoimy wobec ogromnej miłości, która mówi: szczęście dla wszystkich!...

OBRAZY JESIENNE.

wysiłki w całości [illegible]. Opiekuj się niemi i [illegible]... Serce nie dobrze [illegible] [illegible], miłości, [illegible] dla wszystkich!...

GDY JESIEŃ NADCHODZI...

Ona jeszcze daleka, ale zbliża się już z za siódmych gór, z za dziesiątych rzek cichymi kroki, jak przeznaczenie...

Nad rozłogami pól zżętych, łąk i ugorów, w ciche wieczory i coraz późniejsze ranki, przelata już chłodny jej oddech, zwiastujący melancholię przyszłych dni...

Nie przystroiła na pożegnalne gody gajów i sadów w złoto i szkarłaty, nie dotknęła mdlejącą dłonią słabego listowia, co odpadając bezsilnie od gałęzi, zaściele niezadługo żółtym i rdzawym kobiercem ziemię, mającą zasnąć na długi, zimowy czas...

Tchnie jeszcze życie wszędzie dookoła. Lecz inne już ono w swej istocie: bez świeżej, wiośnianej cery, bez pełni i bujności letnich

dni... Przechyliło się poza swój zenit i, niby tarcz słoneczna, zwolna lecz nieubłaganie stacza się w dół, świecąc blaskami pożegnania..

Oto rozległe równiny pól, oto wzgórza pochyłe, pokryte żywiącemi niwy. Spłynęły już z nich płowe i złote fale zbóż, grzywy szumiące, pędzone wiatrem; dziś niby suche łożysko rzeki umarłej, zostały tam nagie ścierniska, martwe świadki długich miesięcy radości, co głosiła się w rosiste ranki wiosenne i upały lata muzyką świerszczy, nawoływaniem przepiórek, nieustanną pieśnią na cześć życia...

Oto łąka zielona o poranku. Smutna dzisiaj, sieroca...

Okwitło nieprzeliczone bogactwo jej kwiatów, zniknęły przebarwne ich kielichy, rozwiane ich zapachy, mówiące o miłości... Skoro świt, toczą się nad nią perłowe zwały mgieł przedjesiennych, chłodne oddechy wiatru żeną jedne za drugimi, aż zatopią wszystko dookoła hen, aż po krańce niedojrzane... I długo pije słońce poranne te białe, zwiewne wody powietrzne, zanim w jego przejasnych blaskach uśmiechnie się znowu roztocz zielona...

Nadeszły już dni odlotów, pożegnań gniazd ukochanych, rozłąki z ziemią rodzoną. Żyje jeszcze na mokrych łęgach niedawne wspomnienie sejmów bocianich, co zlatywały się tam przed podróżą w słoneczne krainy. Coraz rzadziej błękitne przestwory przeszywa czarną strzałą niezmordowana jaskółka. Na kalenicach chat i stodół całemi godzinami lśnią ich drobne szeregi. I one czują, że nadszedł ich czas i one myślą już o odlocie i spieszno im pod inne, gorące lazury, gdzie blado uśmiechnięta jesień życia nie gasi...

I dniom coraz krótszym spieszno już ku uśnięciu. Coraz rychlej płonie na zachodzie purpura zórz, coraz wcześniej srebrno-błękitne noce chłodnemi szaty okrywają usypiającą ziemię... Cudne, przejasne noce wrześniowe, znaczone złotemi drogami gwiazd, niby te same, co dawniej — lecz jakież inne w swej zimnej, świetlistej krasie!... Odjęty im upojeniem dyszący oddech kwiatów, radosna gędźba pól i łąk, odjęty czar życia... Zda się, urocza bogini z bajki, zachwycająca blaskiem oczu lazurowych, lecz pod jej tę-

czowemi szaty nie bije żywą krwią serce gorące...

Po przez brylantową czystość przestworza widzi się nieskończoność dalekich gwiazd. Szlaki wieczności jakby usiane milionami nieznanych świateł. Wśród nich droga mleczna, niby jasna wstęga, rzucona na błękity... Raz po raz złote smugi przecinają w dół kryształowe dale... To gwiazdy z nieba lecą...

Mówi legenda ludowa, że Matka Boska, idąc po mlecznej drodze z Częstochowy do Ostrej Bramy, strąca niekiedy świętą stopą te gwiezdne okruchy, i dlatego w czas przedjesienny najwięcej spada gwiazd. I mówi dalej legenda, że aniołowie, lecąc srebrzystym obłokiem przed Przeczystą Dziewicą, rzucają pod jej nogi pęki lilii białych... Zdarzy się, że z gwiazdą spadnie kędyś na ziemię płatek niebieskiego kwiatu. A gdy na polach dalekich podniesie go niewinne dziecię, umiera w łasce i po śmierci oczy ma zachwycone...

I w legendę o lilii anielskiej, dającej śmierć szczęśliwą, tchnęła swą melancholię jesień, która nadchodzi...

OSTATNIE SZUMY DRZEW.

Październik... Już zapanowała nad obszarami ziemi smętna królowa. Obsypała gaje i zarośla bogactwem złota i szkarłatu, lecz kędy przeleci jej słodkie tchnienie, życie omdlewa i gaśnie. Miękką, łagodną dłonią rozsiewa naokół niewidzialne nasiona snu, który obejmując drzewa i nizkie gąszcze przyziemne, zwleka z nich zielone okiście i odsłania nagie gałązki, lśniące potem w słońcu nakształt złotych prętów.

Wietrzyki, ścigające się nad koronami samotnych drzew, nad gajami i zboczami pagórków, pełnemi gęstego krzu, zdają się szeptać nieustannie :

— Na sen wam! na długi, zimowy sen!

Jakoż na drzewa zstępuje sen spokojny.

Życie odpływa, soki przestają krążyć, pozostając w ziemi, wśród korzeni. Najmłodsze, maleńkie listeczki, wywijające się na kończynach gałązek z ostatnich, spóźnionych pąków, zamierają jak niemowlęta w pierwszych dniach życia. Niektóre dogorywają na obnażonych gałązkach, płonąc od plam czerwonych, niby chorych, gorączkowych rumieńców...

Każdego ranka białe mgły osłaniają tajemniczo całe widnokręgi. Dopiero, gdy słońce wzbije się wysoko, opadają cicho, szatom rozluźnionym podobne, do stóp dębów wspaniałych, ciemnych olch i brzóz-dziewic, powiewających złotymi warkoczami wiotkich swych gałęzi. Wówczas wśród drzew poczynają się dziwne szepty... Głowiaste wierzby, strzegące polnych dróg, akacye i leszczyna, jeszcze zielone, chociaż zielenią coraz rzadszą i przejrzystszą, cieszą się dniem pogodnym i żegnają siostry już w śnie pogrążone, zupełnie bezlistne lub siejące naokół złotym deszczem umarłego listowia.

...Może to ostatni dzień, w którym wolno nam stać pod błękitami w resztkach kra-

sy zielonej i napawać się boską pieszczotą słońca, przeto radujmy się niem, radujmy! Oto snują się pośród nas białe nici pajęcze, niby słodka tkanina miłości; oplatają nasze gałązki, zwieszają się sennie, łączą z sobą drzewa najbliższe, kochają... Roje muszek-jednodniówek, zrodzonych z ciepłego promienia, brzęczą w słońcu radośnie u naszych stóp, czyniąc gwar luby, jakby w gorący, letni dzień... Przelatuje jeszcze nad nami skrzętna sojka, niosąca żołądź do gniazda, skrytego w cienistym lesie. Mała zięba przyfrunęła z pól i skacząc wśród gałązek, świegoce między ostatkiem liści, jak o poranku na wiosnę... Radujmy się dzisiaj...

...Nocą może złe wichry nadlecą, razem z ostatnim zielonym liściem wyszarpią z nas resztę życia i jutro już pośnięte, odrętwiałe, tkwić będziemy bezdusznie w matce ziemi, jak te oto brzozy pożółkłe, lipy, rdzawe dębczaki i obnażone kasztany. Ale dzisiaj niechaj jeszcze radość panuje... Słońce opuszcza się w dół, krótki dzień jesienny przebiegł błękity chyżą, lotną stopą, lecz ta promienna chwila przed zachodem do nas jeszcze należy...

Wietrzyk, słodki kochanek, całuje nasze listki mdlejące; muszki w pasmach tęczowych brzęczą wesoło, jakby wyprawiając tany weselne; stado białych gołębi zerwało się ze strzech i w purpurowych blaskach buja radośnie nad naszemi głowami...

Tylko stare sosny i świerki, co stoją tu i ówdzie na wyrębach, milczą na te rozgwary i szepty liściastej braci. Milczy także szpilkowa dziatwa drzewna, co wysiała się u stóp ojców wyniosłych, lub rośnie dalej po stokach pagórków, pokrytych wrzosem, niby lśniącą miedziano-złotą runią. Głuchymi są też na nie lasy iglaste, czerniejące na skrajach widnokręgu. Im nie grozi bolesna nagość gałęzi, nie grozi śmierci podobne uśnięcie...

A piękne dni jesienne idą pasmem nieprzerwanem, niby szereg słonecznych świąt pożegnania. Aż raz, pod zachód, na pogodny błękit jęły nadciągać ciemne chmury. Jak zbliżające się hufce wojsk, rosły z każdą chwilą, przesłaniały coraz bardziej nieobjęte obszary podniebne i wlokły po ziemi, olśnionej jeszcze słońcem, ciężką opończę cieni. Trwoga padła na niziny, pagórki i zbocza z kępami

drzew, oddychających ostatkiem liści. Stada wron przelatywały raz wraz ku odległym borom w milczeniu, jakby oniemiałe z przestrachu. Drobne ptactwo z żałosnem ćwierkaniem poczęło chronić się pod strzechy, do stodół, obór i stogów. Od wschodu uderzył gwałtowny wicher i niby herold, zwiastujący bój śmiertelny, począł dąć w surmę straszliwą. Czarna nawała chmur pochłonęła szkarłatne zorze, płonące na zachodzie, złowrogie mroki zaćmiły niebo i ziemię, a z gajów, zarośli i wąwozów lesistych podniosły się jęki i trwożne wołania miotanych wichurą drzew:

— Biada nam! biada! biada!

MGŁY LISTOPADOWE.

Zamarło już życie ziemi, zniknęła jej krasa: murawy pobielałe od szronu, na nagich gałęziach puszysta sędzielina.

Dni snują się blade, słabnące, jakby bez oddechu.

Ziemia tonie w pomroce siwych, nieskończonych mgieł, co ogarnęły ją przemożnie jak ciężka, bezbrzeżna niedola. Nikną w nich ciemne bory, przepadają role rozległe, wsie, nad któremi stróżują wyniosłe, dawniej już zdala widne topole. Skądsiś z głębi dobywają się szumy i pluski, idą w górę rozgwary i bulgotanie wód; czasem wóz ciężkiem okuciem zadzwoni, koń zarży, zaskrzypi żóraw wśród gromady omroczonych chat; gdzieś blizko wieczorem zamajaczeje światełko, niby

zamglona łzami źrenica: ale wzrok nie zdoła sięgnąć w dal; odepchnięte spojrzenie zaraz powraca z swej drogi, nie wybiegnie na spotkanie odległego widoku, nie pomknie wzwyż, do błękitu...

Mgły i mgły... Istny ocean, bezmiar żywiołu, co zatopił całe widnokręgi i wszytko co żyje zdławił i pochłonął...

Tylko żal i smutek błądzą po głuchych równinach, szepcą dziwy wśród gęstwy znieruchomiałych sosen i świerków, spływają w dół po zboczach i urwiskach, aż hen w przepaścistych wąwozach poczynają skarżyć się głośno i szlochać wśród rwących fal strumieni. Wstaje łzawe wspomnienie i mówi o minionych chwilach życia i miłości; o dniach słonecznych, radosnych, gdy ziemia żyła, kochała, rodziła, a wśród przestworów płynęły hymny szczęścia i upojenia... I wzbiera wielka tęsknota za słońcem, które już jakby gasło na wysokościach. Odjęta mu świetność i blask, odjęty oddech gorący i życiodajny; wychyla się tylko chwilami jako nikły, blady krążek, płynący górą, niby mara bolesna...

A mgły siwe, nieprzejrzane, ogromnieją

z dnia na dzień. Śniegi rosną — mówi lud. Zima idzie — długa, mroźna zima-macocha. Nikt teraz nie zamarzy o wiośnie, tak zdaje się daleką, niedościgłą, jakby odbieżała na zawsze. Po mgłach przyjdą zawieje, straszliwe śnieżyce-kurniawy, wśród których tak samo ginie ziemia, giną chaty, pola, lasy, ginie wszelkie tchnienie życia, a wichry grzmią i huczą, jakby na zagładę tym tysiącom chat, zatopionych w białych pianach śniegowych, na zagładę tym rolom żywiącym i wszelkiemu stworzeniu...

A jednak pod falami śnieżyc, pod olbrzymiemi cielskami przewalających się mgieł, na równinach rozległych i u stóp gór trwać będą nieprzerwanie te chaty nizkie, szeroko do ziemi przysiadłe i po dawnemu rozciągać się te role. Skostnieją na pozór, zatają iskrę życia, ale nie umrą, jako i ziemia nie umrze. Nakoniec po wielu dniach smutku i żałości prześnią ciężki sen zimowy, zrzucą białe giezło śmiertelne i ożyją na nowo. Obudzi je zorza wiosenna, różowy brzask wschodu. O rannej rosie wyjdzie znów oracz na rolę, przeżegna się szeroko i ujmie pług w krzepkie,

niezawodne dłonie. A potem siać pocznie siew życia, siew przyszłości...

Mgły-upiory odlecą, jak ciężki, gnębiący sen...

MIŁOŚĆ NIE WRACA...

FRAGMENT SCENICZNY W 1 AKCIE.

OSOBY:

TADEUSZ.
EMILJA.
PANNA MELA.

Rzecz dzieje się w mieszkaniu Tadeusza.

Scena przedstawia pokój Tadeusza, skromny, bez kotar, dywanów i otomany; naprzeciw drzwi, umieszczonych z lewej strony sceny, pod oknem, szerokie biurko, zarzucone książkami i zapisanymi arkuszami; dalej szafa z książkami, druga szafa, pułki z książkami; kanapa, stół, kilka krzeseł; łóżko; na ścianie lustro, obrazy. Tadeusz, szatyn średniego wzrostu, z bródką; fryzura skromna, bez długich włosów; w czarnem żakietowem ubraniu; w stroju, postaci i wzięciu nic z eleganckiego „kochanka“.

SCENA I.

TADEUSZ *zaraz po podniesieniu kurtyny wstaje od biurka i zaczyna nerwowo chodzić po pokoju; spoziera kilkakrotnie na zegarek; zbliża się do biurka; ręce mu drżą; bardzo podnie-*

cony; wreszcie przystaje z twarzą zwróconą do drzwi. Wtem słychać ciche pukanie; zadrżał; z oczyma utkwionemi w drzwi, opiera się mocno ręką o biurko. Odzywa się cicho:

Proszę!

Chwila naprężonego oczekiwania. Drzwi się zwolna otwierają. Wchodzi

EMILIA.

(*Dama z dobrego towarzystwa; ubiór wytworny i skromny; postać piękna, wysmukła. Pierwszy moment: uśmiech rozradowania na jej twarzy; lecz w tejże chwili, wobec jego poważnego spojrzenia, uśmiech gaśnie. Zamyka za sobą zwolna drzwi, jakby się wahała, czy postąpić krok dalej. Lecz Tadeusz szybko podbiega do niej, wyciąga rękę z ukłonem; witają się uściśnieniem dłoni*).

TADEUSZ (*z uśmiechem, głosem rozstrojonym*):

Proszę, proszę, oto miejsce dla gości...

(*wskazuje jej fotel koło biurka*)

(Emilia, idąc zwolna, ogarnia spojrzeniem pokój; usiada w żakieciku, rękawiczkach i kapeluszu.)

TADEUSZ (*siadając na swojem miejscu przy biurku*):

Ubogo tutaj, prawda? Razi to dziedziczkę Brzozowej Woli?

EMILIA (*niepewnie, z pomieszaniem*):

Wcale mnie nie razi... Owszem, bardzo tu miło, zacisznie... Jakże ci dobrze być musi w tym pokoju wieczorami, przy pracy...

TADEUSZ:

W samotności...

EMILIA:

Pisałeś ongiś, że jest tu zawsze n a s d w o j e...

TADEUSZ:

Ach tak... Ja i twoja fotografia...

EMILIA (*spozierając na biurko i ścianę powyżej*):

Ale jej nie widzę...

TADEUSZ:

Schowana...

EMILIA (*uśmiechając się z przymusem, bardzo cicho*):

Schowana...

(*po chwili, otrząsając się z przykrej zadumy*):

Ale nie spóźniłam się?

TADEUSZ:

Bynajmniej! (*patrzy na zegarek*). Zaledwo o parę minut... Moja pani zawsze punktualna... Tak samo, jak i dawniej, przed trzema, przed dwoma laty — i ostatni raz, cztery miesiące temu, gdy oczekiwałem cię, jak zwykle — w cukierni...

EMILIA (*z wyrzutem*):

Ach, akcentujesz tę cukiernię... Wszak miłość nasza nie ograniczała się do spotkań w cukierni...

TADEUSZ:

Istotnie... Było tyle, tyle listów...

EMILIA:

A dwa lata temu — za miastem — o zachochodzie... Czy zapomniałeś? Taka była wiosna upajająca...

TADEUSZ:

I pocałunki były upajające... Zresztą, za parę minut już pędem wiozła nas doróżka z powrotem...

EMILIA (*żywo*):

Bo przecież spóźniłabym się do teatru z mamą i wujem Hieronimem. I tak dziwili się bardzo, gdzie przez ten czas się zatrzymałam...

TADEUSZ (*z ironią*):

O, to było niesłychanie ważne... Uznaję, uznaję! Za żadną cenę nie można było się spóźnić, bo cóżby mama, cóżby wuj Hieronim, cóżby „świat" powiedział? A nazajutrz znów odjazd do Woli, potem zagranicę, a za parę miesięcy znów widzenie się w ustronnej „naszej" cukierni!...

EMILIA (*z przygnębieniem*):

Po co to powtarzasz? W listach na ten temat tyle już ironizowałeś... A ja przecie nie pogniewałam się... Przyrzekłam przyjść do ciebie, uczynić to, do czego nie mogłam się przemóc przez cały czas naszej —

TADEUSZ (*z ironią*):

Ko-res-pon-den-cyi...

EMILIA:

Nie korespondencyi — naszej miłości... I oto widzisz, przyszłam powolna twemu żądaniu...

TADEUSZ:

Czy teraz tego żądałem?

EMILIA:

Dwa lata temu, i dawniej, wszak wiesz... Inna przyszłam, odmieniona, tak jak pragnąłeś, a przecież (*z uczuciem*) ta sama co wówczas, kiedy pisałam, że jestem całą duszą, całą krwią serdeczną twoja!

(*z opuszczeniem głowy i akcentem zawstydzenia*) Taka... przyszłam... dzisiaj...

TADEUSZ (*pokonując głębokie wzruszenie*): Dopiero dzisiaj...

EMILIA (*z ruchem dłoni ku jego ustom*): Błagam cię, zamilcz... (*po pauzie*). Kiedym ci oznajmiła, że to uczynię, inaczej wyobrażałam sobie to nasze pierwsze — naprawdę nasze widzenie się u ciebie, bez świadków, poza ludźmi, poza światem! Nie tak było wtedy, za miastem, gdyśmy straciwszy z oczu dorożkarza — ukryli się...

TADEUSZ:

W istocie... Burza, nawałnica pocałunków... Piłaś mnie po prostu... I wypiłaś duszę, myśl twórczą — wszystko na całe dwa ostatnie lata... Zostawiłaś potem samego na pastwę tęsknoty — a jakby na domiar katuszy pisywałaś te... listy do mnie! Twoje listy!!! Każdy rzucał mi iskry w krew, w mózg; one były jakby twoje własne słowa gorące, szeptane do ucha... Czytając, owiewał mnie

rozpalony twój oddech... Całowałem je, jak twoje usta!...

(*po chwili z ironią*):

Moje zaś, niemal codzienne poematy prozą na temat ciebie, musiały cię przyjemnie podniecać — miałaś miłą lekturę... Zwłaszcza w zimie, wśród nudów z wujem Hieronimem na Rivierze, lub w lecie, w Szwajcaryi, czy Tyrolu...

EMILIA (*z głębokim bólem*):

Sam w to chyba nie wierzysz, co powiedziałeś. Czujesz, że się tobą nie bawiłam, lecz szczerze, głęboko kochałam — i tęskniłam i (*po pauzie*) pragnęłam... Niezliczone noce bezsenne przeleżałam, wyciągając ramiona do ciebie...

TADEUSZ:

Z oddalenia — wierzę...

EMILIA:

Jakie to straszne, że mnie nie chcesz zrozumieć! Chciałam, aby miłość nasza nie była

zwykłą miłością opuszczonej przez męża kobiety, ze zwykłym kochankiem — ale wznioślejsza, inna, jakiej nikt nie zaznał...

TADEUSZ:

W istocie, takiej nikt nie zaznał! (*po pauzie*) I co za losy kazały mi owej zimy poznać cię w Zakopanem i natrafić na to, czego zresztą tak pragnąłem: na swój typ. Inaczej przecież nie kochałbym z oddalenia tak nieskończenie długo!

EMILIA:

Bo też ty jesteś inny, z sercem nie na miarę krawca i inna twoja miłość...

TADEUSZ:

Ach i twoja inna...

EMILIA:

Chyba zrozumiesz, że walczyłam z sobą, ciężko walczyłam, chciałam pozostać — —

TADEUSZ (*wpadając, z ironią*):

...Wierną byłemu małżonkowi, który, jak

słyszę, awanturuje się teraz dla odmiany w Ostendzie z jakąś rosyjską baletówką... Bu-du-ją-ce!...

EMILIA:

Prawda — to było niedorzeczne. Jasno to dzisiaj widzę. Ale już nie szydź... Ja już inna... zrozumiałam... przyszłam... (*patrząc mu w oczy przeciągle*) jestem u ciebie...

(po chwili, z smutnym uśmiechem, zmieniając ton głosu):

Ale mój pan niegościnny, czy roztargniony, jak prawdziwy poeta... Siedzę w rękawiczkach, jak na bardzo ceremonialnej wizycie... (*ściąga rękawiczki*).

TADEUSZ (*bardzo uprzejmie*):

Przepraszam, przepraszam. Zagadaliśmy się. Ja naprawdę jestem roztargniony.

(*Pomaga jej zdjąć żakiet. W chwili, gdy się odwraca i wiesza go na wieszadle, Emilia, stając przed lustrem, czyni ruch rękami, by wyjąć szpilkę od kapelusza. Wtem Tadeusz*

się odwraca — spotykają się oczyma — jej ręce opadają i usiada na fotelu).

Emilia białe, rasowe ręce zaplata na kolanach; Tadeusz patrzy na nie krótką chwilę.

EMILIA:

Patrzysz na moje ręce? tylko patrzysz, jakby na coś obcego... A dawniej... Z każdej sposobności korzystałeś, by pochwycić je i całować... Zawsze się to powtarzało, ilekroć idąc bocznemi ulicami o zmroku, odprowadzałeś mnie po owym „kwadransie“ w cukierni do wujostwa... A pamiętasz te walki, te sceny robione mi o rękawiczkę na prawej ręce? Jak się gniewałeś przy rozstaniu? Musiałam na gwałt zdzierać, abyś jeszcze raz pocałował...

TADEUSZ:

Tak, bo na ten pocałunek miałem czekać potem dwa, trzy miesiące...

EMILIA (*przysuwając się do biurka i kładąc przed nim obie obnażone do łokci ręce*):

Nie weźmiesz? Twoje...

TADEUSZ (*w posępnem zamyśleniu*):

Były moje... (*zmieniając naraz ton*): Ale powiedz mi Emilko, czemu przed dwoma tygodniami zaczęłaś znów pisać do mnie...

EMILIA:

„Emilko?“ To takie teraz moje imię? Przecież mówiło mi się: Mila, Mileńka, Mileńka moja...

TADEUSZ:

Eh, dzieciństwo... Podchwytujesz drobiazgi... Więc — dlaczego?

EMILIA (*wstając*):

To nie drobiazgi... To dzisiaj najważniejsza rzecz dla mnie. Więc już nigdy: „Mileńka moja?“ Powiedz choć raz Tadziu jedyny, powiedz: Mileńka!

(*Tadeusz uśmiecha się smutno*)

Szalona jestem... Ha, ha!... To chociaż udaj, oddeklamuj... Niech usłyszę...

TADEUSZ *(poważnie)*:

Nigdy do ciebie nie deklamowałem pieszczonych słów. W listach moich też nie było „literatury“. Miłość ta była mi taką świętością, że nigdy nie sięgnąłem po nią jako po „temat“. Gdy w sercu będę czuł: „Mileńka“ to i usta wypowiedzą...

EMILIA (*z uczuciem*):

Więc będziesz czuł? będziesz? A ja na to zasłużę (*bierze miękko obu dłońmi jego głowę*). Patrz mi w oczy... (*po chwili*): Nie tak nieruchomo, bez wyrazu! Czy już nie umiesz patrzeć na mnie?! (*opuszcza ręce*).

TADEUSZ (*bardzo miękko i serdecznie*):

Więc moja pani nie powie, czemu na nowo zaczęła pisać? Wszak już przez trzy miesiące było milczenie. Powiem otwarcie: rad byłem, zacząłem zapominać, tęsknota odeszła. Wyzdrowiałem moralnie. Zabrałem się do pracy, szczęśliwy, że nareszcie zdołało mnie pochłonąć coś, co nie było tą miłością. Przed miesiącem wystawiłem nową sztukę. Nie byłaś

na niej ; tembardziej sądziłem, żeś wyjechała gdzieś za granicę i... może... po-cie-szy-ła się...

EMILIA (*seryo, z oburzeniem*):

Myślałeś naprawdę, żem się pocieszyła? I mogłeś w to choć przez chwilę wierzyć?

TADEUSZ:

W istocie, bez przekonania wymknęły mi się te słowa. Ty jesteś może z tych, co się nie pocieszą...

EMILIA (*opadając na krzesło, z głębokiem skupieniem*):

Oh, tak... (*po długiej chwili*). Ale winnam ci odpowiedzieć... Nie wiem doprawdy, skąd przyszedł ten powrót nieukojonej, do głębi dojmującej tęsknoty za tobą...

TADEUSZ:

Przepraszam: za szczęściem własnem, za szczęściem dla siebie, za tem, co wierzysz, iż twe szczęście teraz może stanowić...

EMILIA:

Mniejsza o określenie, ja mówię co czuję:

tęsknota za tobą bez miary wezbrała mi w duszy... Niedawno, pewnego cudnego popołudnia siedziałam u siebie w parku, Ewunia z guwernantką przerabiały lekcyę opodal w altanie. Nie wiem, kiedy wstałam z ławki, kiedy przeszłam wzdłuż cały ogród i tylną furtką wydostałam się na pola zżęte, na łąki bez kwiatów... Odeszło lato — snuło mi się w myśli — i oto już jesień, co z rumieńcem suchotniczym gaśnie zwolna, jak wspomnienie o szczęściu... I moje lato, moje życie ku jesieni się chyli — a ja nie miałam wiosny, ni lata... Przeszły mimo mnie, innym dając rozkosze; ja z nich byłam wydziedziczoną — wiesz o tem doskonale... A przecież jeszcze jesień nie stoi tuż za moim progiem. Jeszcze na licach mam odblask lata, a w sercu wiosnę... I rozpłakało się we mnie ogromne, rozpaczne wołanie o powrót wiosny, o powrót szczęścia, które mnie mija...

TADEUSZ (*jakby do siebie, cicho*):

Wołanie o powrót szczęścia... Czyż ono wraca kiedy na takie wołanie?...

EMILIA (*jakby zapatrzona w swoje myśli, smutno*):

...W jakimś dalekim parowie łkałam długo, aż do zachodu... Z temi łzami spłynęła moja duma, moja — jak się wyrażałeś — królewskość, moja ambicya, by z czystem czołem, mimo wszelkie pokusy, przejść do końca życia, oddana tylko wychowaniu Ewuni... Spłynęło do ostatka wszystko, co cię męczyło przez te lata naszej miłości... I podniosłam się inną kobietą... Taką, o jaką tylekroć błagałeś: nie filozofującą na temat uczucia, nie ulatującą ci w obłoki, lecz poprostu — twoją!

TADEUSZ (*cicho, patrząc w dół*):

Więc dopiero... teraz... tak... późno...

EMILIA (*żywo*):

Wierzę, że nie zapóźno. (*po pauzie*): Tego samego wieczora napisałam ten nieśmiały, skruszony list do ciebie, za który wysmagałeś mnie ironią... Lecz słusznie, mój jedyny, słusznie... Ja go za to ze łzami ucałowałam!

(*silne wrażenie na twarzy Tadeusza*). Potem posłałam drugi, na który nic nie odpowiedziałeś — potem trzeci. Ten cię wreszcie musiał przejednać. Napisałeś, że widzisz w nim tryumf kobiecości, której mi nie dostawało.

TADEUSZ:

W istocie, napisałem tak, dodając, że ta kobiecość powinna była ujawnić się wówczas, gdy uczucie nasze było u zenitu... Dzisiaj...

EMILIA:

Dzisiaj spodziewałam się jednak, że gdy przyjdę tutaj... do ciebie... (*dłuższa pauza*; *naraz z wybuchem łkania*):

Boże! czy jest biedniejsza, bardziej sieroca istota na świecie!...

TADEUSZ (*nie mogąc zrazu opanować się, drżąco*):

Emilko... Milo... dobra, serdeczna... O jedno cię błagam: nie mów o swojej krzywdzie i nie płacz... Ja o mojej mówić nie chcę... (*Bardzo miękko*): Daruj, aleś ty wołania mego serca przez blizko trzy lata nie chciała

usłyszeć. Nie mogłaś zdecydować się na śmiały czyn dla naszego szczęścia. Jakiś miesiąc spędzić ze mną w Szwajcaryi, czy Włoszech — bez względu, czy stałabyś się moją, czy nie, ale razem, razem, wtedy, gdy serce moje wybiegało każdej chwili do ciebie, gdy każda moja myśl do ciebie należała... Czemu mnie tak męczysz?

EMILIA (*zarzucając mu ręce na ramiona, z rzewnym wybuchem*):

Bo cię kocham, jak żadna kobieta na świecie i muszę cię mieć z powrotem takim, jak w początkach naszej miłości!

TADEUSZ (*po wielkiem pasowaniu się ze wzruszeniem, łagodnie rozplatając jej ręce i siląc się na spokój*):

Przedewszystkiem proszę cię, uspokój się... Jesteś zbyt rozumna... wiesz, że wybuchami nie dojdziemy do niczego... (*sadza ją na krześle; całuje serdecznie w rękę*) No cicho, cicho, nic nie mówić — uspokoić się — odetchnąć — długo, długo odpocząć...

(*Patrzy na nią chwilę łagodnym, współ-*

czującym wzrokiem i odwraca się do okna; otwiera je i oparty o futrynę, bokiem do widowni, stoi długą chwilę).

EMILIA (*po pauzie, dotykając dłonią czoła, przeciągle*):

Aaa! zrozumiałam! zrozumiałam! Teraz wszystko mi już jasne! Że też tego nie odgadłam od razu! Ty kochasz inną!! (*podbiega ku niemu; ujmuje go za obie ręce; patrzy mu wprost w oczy; pospiesznie, zdyszanym głosem*): Błagam cię, powiedz mi tylko szczerze, otwarcie: tak!

TADEUSZ (*cofnąwszy się w tył, patrzy na nią chwilę ze zdumieniem; potem wybucha głośnym śmiechem*):

Ha, ha, ha, ha, ha, ha!

EMILIA (*z naciskiem*):

To nie jest szczery śmiech.

TADEUSZ:

Niestety — szczery...

EMILIA:

Niestety?

TADEUSZ:

Bo przecie kochać — kochać głęboko i wyłącznie, i mieć tę ukochaną blizko, przy sobie — chyba to szczęście...

EMILIA (*z odcieniem uspokojenia*):

Więc się pomyliłam?

TADEUSZ:

Co do mnie — najzupełniej.

EMILIA:

Jakto, co do... ciebie? Nie rozumiem...

TADEUSZ:

Może być druga strona w tej przeczuwanej przez ciebie „miłości".

EMILIA:

Ach, więc jest jakaś „ona".

TADEUSZ:

Jest.

EMILIA:

Któż to? któż?

TADEUSZ *(Z ironicznym uśmiechem:)*

A nie zlękniesz się?

EMILIA:

Żartujesz... Więc któż?

TADEUSZ:

A-kto-re-czka! Nie artystka jeszcze, lecz aktoreczka, która kiedyś będzie artystką.

EMILIA *(powoli, z ironią)*:

I pozwalasz się kochać? Ofiarujesz jej siebie, niby nie dając wzajemności — ale ofiarujesz...

TADEUSZ:

Nie dałem jej siebie.

EMILIA *(zimno)*:

Więc tak platonicznie — —? Ciekawam,

jak też może wyglądać „aktoreczka“, co się godzi na taki platoniczny stosunek...

TADEUSZ:

Możesz ją zobaczyć kiedykolwiek w teatrze..
A kto wie nawet, czy nie tutaj, dzisiaj jeszcze...

EMILIA (*niespokojnie*):

Jak to?

TADEUSZ:

Dość często mnie odwiedza... zwłaszcza o tej porze...

EMILIA (*z wielkiem zdziwieniem, powoli*):

Odwiedza cię? Po co?... jeśli — —

TADEUSZ:

Uczę ją...

EMILIA:

Ha, ha, ha, ha!

TADEUSZ:

Ależ na prawdę. Uczę ją różnych rzeczy,

o których nie ma pojęcia. Otwieram jej oczy na piękno ; wskazuję książki, które winna poznać, objaśniam... I uczy się z zapałem ; pojmuje i pamięta, co odemnie usłyszy. Przy dobrych warunkach na scenę...

EMILIA:

Ładna?

TADEUSZ:

W swoim rodzaju nawet bardzo ładna... Przy jej warunkach, przy rzeczywistej inteligencyi aktorskiej, spodziewam się, że zostanie kiedyś prawdziwą artystką. Grała w mojej sztuce epizodzik naiwnej—kapitalnie!

EMILIA:

A, stąd znajomość. I tak sami tutaj przesiadujecie?... (*po pauzie, z badawczem spojrzeniem*) : Ty jesteś przecież... młody...

TADEUSZ:

Zapewne, według metryki... Ale na sprawy „miłości“ mam obecnie wzrok bardzo wyostrzony... Tej małej nic nie wierzę... Żartuję

sobie, ilekroć wszedłszy, wybuchnie radością, że znowu może „z dobrym, kochanym panem Tadeuszem“ w tym miłym pokoju, spędzić godzinę na rozmowie o sztuce, pięknie, poezyi... Boli ją moja ironia (przynajmniej nie źle to gra) ale się nie obraża. Po prostu: potrzebuje mnie. Te kobietki są sprytne. Liczy się, że z dyrektorem jestem w stosunkach, z recenzentami, że ją czegoś mogę nauczyć. Poza tem, jestem dla niej naprawdę życzliwy, nie narzucam się brutalnie, jakby to czynił inny na mojem miejscu — miewa zatem momenty, kiedy jej serdeczna gra wobec mnie robi wrażenie zupełnej szczerości. Ale to kabotynizm; nie łudzę się... Teatr wogóle kabotynizuje... Zresztą (*niedbale*) nie trudzę się przenikać tych rzeczy...

(*słychać ciche pukanie*).

To może ona... Tak, jej pukanie... Wyjdę i przeproszę, że mam u siebie... bratową... Nie robię sobie z nią ceremonii... Tak będzie najlepiej — prawda? Wszak nie chciałabyś jej zobaczyć — po co?

EMILIA (*zatrzymując go za rękę, zdenerwowana, waha się chwilę. Pukanie się powtarza. Z determinacyą*):

Przeciwnie... proszę... wprowadź...

Tadeusz podbiega do drzwi; otwiera je z lekkim ukłonem.

SCENA II.

Tadeusz, Emilia, panna Mela.

P. Mela, ubrana nieco za jaskrawo, mała blondynka, z książką w ręku. Wchodząc z akcentem podejrzliwości spoziera na Tadeusza i Emilię.

TADEUSZ (*do Emilii*):

Pozwolisz sobie przedstawić: panna Mela Szarocka, artystka dramatyczna. (*Do Meli*): Moja... bratowa... (*Kobiety zamieniają ukłon. Emilia z niechętnem spojrzeniem, ale z wymuszoną uprzejmością*).

Proszę, niech pani usiędzie, (*podaje jej krzesło; pannna Mela siada. Zwracając uwagę na książkę w ręku p. Meli*):

Cóż to pani przynosi?

P. MELA:

Ely'ego! Śliczne wiersze. Bardzo panu dziękuję!

(*podaje mu książkę; on zatrzymuje ją w ręce*).

TADEUSZ:

Kiedyż była próba ze wznawianej „Zemsty"

P. MELA (*bardzo żywo*):

Dzisiaj właśnie! Chciałam też panu to powiedzieć. Wybornie mi poszła. Doskonale uchwyciłam liryczno-naiwny ton Klary. Dyrektor, powiadam państwu, tylko kiwał głową i mówiłraz po raz: aaa! aaa! a wiadomo, że to u niego — —

TADEUSZ (*przerywając*):

No, no, nie galopować tak zapamiętale. Nic jeszcze nie wiadomo. Zbyt dobrze znam dyrektora. Choć mówi: „aaa!" — to znów tak seryo nie zapala się do nowicyuszek...

P. MELA (*jak wyżej*):

Ależ słowo daję, że — —

TADEUSZ:

Wierzę bez słowa. Choćby się jednak pani ta Klara udała — to tylko nie myśleć od razu, aby to już była — kreacya! Ot, niezły epizodzik...

P. MELA:

Eh, bo pan zawsze taki srogi i nigdy mi nie oszczędzi zimnego tuszu...

TADEUSZ:

Taki tusz bardzo dobry dla uświadomienia sobie, że trzeba dużo jeszcze pracować... Ale (*z uśmiechem*) może już pani uprzykrzył się... wychowawca... (*do Emilii*): Bo trzeba bratowej wiedzieć, że to moja wychowanica. Od jakich ośmiu, czy ilu tygodni, nie pamiętam...

P. MELA (*bardzo żywo*):

A ja doskonale! Było to na pierwszej próbie pańskiej sztuki, w której robiłam taką modern-naiwną, — w poniedziałek, 20-go tamtego miesiąca... Wtedyśmy się poznali i odtąd zostałam pańską uczenicą, wychowanicą,

przedmiotem do wywierania złego humoru, do najokrutniejszych dokuczań! Lecz ja (*miękko*) nie gniewam się na mego wychowawcę, nawetbym nie potrafiła, bo choć taki surowy, ale bardzo... dobry! Ja panu... dużo... zawdzięczam...

TADEUSZ (*przerywając i ukazując na książkę, którą trzyma w ręku*)

Ale... jakże się ten tomik poezyi podobał?

P. MELA:

Cudowne rzeczy! Kilka wierszy przepisałam i umiem na pamięć. Choć pańskie... może ładniejsze...

TADEUSZ (*poważnie, z akcentem surowości*):

Proszę tylko nie wygłaszać herezyj!

P. MELA (*z zalęknieniem*):

Przepraszam... to jest moje osobiste zdanie...

TADEUSZ (*z uśmiechem*):

Pani zdania nie ma, bo przecie pani jest — naiwna!

P. MELA (*zadąsana*):

Eh, znowu... Ja wiem, że jestem naiwna, czyli... głupia — —

TADEUSZ:

Ależ naiwna na scenie! Taki zawód pani, fach, specyalność... Żartowałem...

P. MELA (*z „naiwnem“ zastanowieniem*):

Na prawdę jednak jestem głupia, kiedym żartu nie zrozumiała...

TADEUSZ:

No, no... Ale co bardzo ładnego umie pani na pamięć?

P. MELA:

Z pańskich wierszy?

TADEUSZ:

Ależ z Ely'ego!

P. MELA (*po namyśle*):

Kilka... na przykład „Bławatek“..

TADEUSZ:

Wybornie! Może nam pani zadeklamuje.

P. MELA (*zrywając się od razu z krzesła*):

Owszem, owszem! Tylko niech pan otworzy książkę, bo gdybym utknęła...

TADEUSZ:

Nie trzeba, umiem sam dobrze... (*do Emilii*): Bratowa pozwoli? Będzie (*z lekkiem podkreśleniem*) miłe intermezzo...

EMILIA:

Bardzo proszę. Z przyjemnością posłucham..

TADEUSZ:

Zatem wychodzi pani na estradę. Tylko „kwestyę" naiwnej zrobić tak naturalnie, aby nie było znać „kwestyi"...

P. MELA:

Rozumie się! (*staje w pozycyi*)

Jaki to chłopiec niedobry,
Tak mnie wciąż zbywa niegrzecznie,
Muszę się gniewać na niego,
Gniewać koniecznie.

Niedawno wyrwał mi z ręki
Zerwany w polu bławatek
I przypiął sobie do piersi
Skradziony kwiatek...

TADEUSZ (*przerywając*):

Bardzo dobrze! A teraz proszę o ostatnie strofki. (*Podpowiada*): „Chciałabym gniewać..

P. MELA:

Chciałabym gniewać się bardzo!
Nie widzieć więcej... ach!... trudno!
Wiem, że mnie samej bez niego
Byłoby nudno!

Ale go muszę ukarać,
Podstępu na to użyję:
Będę umyślnie płakała...
Niech... łezki... pije!...

TADEUSZ:

Pogratulować! Oto jest naiwność w całej swej krasie! Ta cichutka „łezka“ była doskonała!

P. MELA:

To pańska zasługa. Ja sama w ten sposób tego nie czułam. Pan mi to tak cudownie odczytał, gdym tutaj była pierwszy raz... Z taką finezyą, uczuciem, że doprawdy... (*rezolutnie*) doprawdy nie wiem, co powiedzieć...

TADEUSZ (*do Meli z uśmiechem*):

Lepiej nic, niż głupstwo... (*do Emilii*): A cóż bratowa na tę produkcyę?

EMILIA:

Rzeczywiście pani ma talent...

P. MELA (*żywo, z ukłonem*):

Dziękuję bardzo... Mówiło mi to wiele osób. Tylko, żeby to można dużo, często grać! Ach, grać choćby codzień! A niestety tak trudno dobić się lepszej roli... Oh, ciężka dola w tym teatrze! (*po pauzie*): Ale ja państwu przeszkodziłam. Wpadłam tak we familię... Bardzo przepraszam... Chciałam właściwie tylko pochwalić się przed panem sukcesem

dzisiejszej próby i oddać książkę. (*Kłania się Emilii*).

TADEUSZ (*podając jej rękę*):

Do widzenia! A proszę być naiwną — tylko na scenie!

(*idą oboje ku drzwiom*).

P. MELA:

Rozumie się! To mój zawód, specyalność. Do śmierci będę naiwną!

TADEUSZ:

Ho, ho, aż do śmierci! Gdy lat trochę przybędzie, zostanie może pani „epizodem dramatycznym", bo na całą dramatyczną pani za mała; a gdyby pani zbrzydła — to można być jeszcze „charakterystyczną"!

P. MELA (*w otwartych drzwiach, kłaniając się Emilii i Tadeuszowi*):

Jeśli o to idzie, to już dzisiaj chyba nią jestem, Ha, ha! Do widzenia!...

TADEUSZ (*zamykając drzwi*):

Do widzenia!

SCENA III.

Tadeusz, Emilia.

TADEUSZ (*poważniejąc od razu, staje przed Emilią; z ruchem głowy ku drzwiom*):

Więc to moja kochanka?

EMILIA (*z przymuszonym uśmiechem*).

Do dzisiaj może nie, ale jak widzę, zajmujesz się nią, wchodzi w twoje życie codzienne... nakoniec się przyzwyczaisz... i będzie ci wystarczać... (*po pauzie*): Choć ona taka jakaś nienaturalna — —

TADEUSZ:

Kabotynka?...

EMILIA:

Tak... Chyba cię to razi...

TADEUSZ:

Zapewne, że mnie razi...

EMILIA:

Więc co ci się u takiej może podobać? Tobie, szukającemu w kobiecie blizkiej duszy...

TADEUSZ:

Z blizkiej, tak zwanej „bratniej duszy“ u kobiety już skwitowałem... A ta? (*wzruszając ramionami*) ma talent... ładna... młoda...

EMILIA (*z westchnieniem*):

Młoda... ze dwadzieścia cztery lat...

TADEUSZ:

Dwadzieścia jeden...

EMILIA:

Tem gorliwiej więc „wychowujesz“ i kształcisz. Wykształcisz artystkę i wychowasz sobie młodą kochankę...

TADEUSZ:

W tem pospolitem znaczeniu — być może. Ale taka kochanka — a miłość, to pojęcie bardzo odległe... Mówić szczerze, z głębi serca do kobiety: ty boska! ty święta! — mogłem tylko do jednej... I czcić — i całe serce przed nią otwierać...

EMILIA (*gorąco*):

Tadziu najdroższy, czemu powiadasz, że

mogłeś... że to minęło?!... A dzisiaj? Przecieżem jeszcze nie umarła... Czyż teraz nie zdołam uprosić o okruch tego, czego posiadałam całe skarby?

TADEUSZ (*cicho*):

Skarby się wyczerpują...

EMILIA (*z akcentem trwogi*):

Czyżby do dna, do ostatniej, najmniejszej perełki?

TADEUSZ:

Niestety, tak. Wyczerpały się, rzucane przez całe miesiące, lata, w wieczną odległość... Ślady ich na setkach kartek, zapisanych serdeczną tęsknotą... Pamiętasz początki naszej miłości? Oh, jak smutno dzisiaj je wspominać! Po pierwszym twoim liście z wyznaniem pamiętasz, co odpisałem? „Płaczę ze szczęścia"... Tylko te słowa. I zaprawdę płakałem... A ten mój list, pisany w maju, dwa lata temu, pisany w gorączce po bezsennej nocy, przemarzonej o tobie... o trzeciej rano, w godzinie brzasku, gdy zorza różowa

zaczęła rumienić moje okno. Pamiętasz? I tyle skarbów serca... I tak klejnoty te rzucane oddalonej, swojej, a jakby nieistniejącej... powoli... z każdym miesiącem, rokiem... topniały... aż... stopniały...

EMILIA (*z twarzą ukrytą w dłoniach, powoli, jakby sennie*):

Aż ... stopniały... (*Po chwili, podnosząc oczy na niego*): A nawet to, że ja, która niemniej wiele przecierpiałam... dzisiaj jestem tutaj... twoja... nawet to już u ciebie nic nie waży?

(*Tadeusz milczy, patrząc nieruchomo przed siebie*).

EMILIA (*spokojnie, z głuchą rezygnacyą*):

Więc... tak... (*po chwili*): Gdyby jednak można dzisiaj dać ci jeśli już nie szczęście — to przynajmniej ukojenie...

TADEUSZ:

Daje mi je praca...

EMILIA (*po chwili, z nagłym, rozpaczliwym wybuchem*):

Nie chciałam tego! Na Boga, nie chciałam! Nie sądziłam ani chwili, żeby nasza wielka miłość mogła się gdzieś... tak... zgubić!! Wszak miałam dla ciebie żywe, gorące serce — nie próżną ambicyę ujarzmienia cię, przykucia do jakiegoś rydwanu! Kazałam ci czekać... prawda...

TADEUSZ:

Kazałaś czekać... szczęściu! Tymczasem — odeszło... (*po pauzie*) Zresztą wierzę ci najzupełniej. Nie chciałaś odegrać w mem życiu roli kobiety demonicznej, która na swej drodze niszczy wszystko i w perzynę obraca — a jednak ją odegrałaś. Nie liczyłaś się zupełnie z mojem uczuciem. Kochałaś — zapewne — ale egoistycznie. Dotąd wystarczały ci listy i rzadkie widzenia. Teraz dopiero, gdy twoja tęsknota wzrosła z nieprzepartą siłą — pragniesz, abym był napowrót tym, co przed dwoma laty... Lecz uczucie moje nie miało poprostu czem żyć tak długo, wśród ciągłej rozłąki i słabło, jak roślina bez rosy i słoń-

ca... Dzisiaj *(dotykając dłonią piersi)* niema go we mnie... jest jakieś inne, przetworzone...

EMILIA:

Ja je wskrzeszę...

TADEUSZ:

W miłości niema zmartwychwstania. Gdybym teraz pozwolił wzejść jakiejś powtórnej naszej wiośnie — byłaby to już fata-morgana tamtej, pierwszej, prawdziwej. Nie łudź się: krylibyśmy się tylko przed sobą z utratą prawdziwego szczęścia... Kłamalibyśmy...

EMILIA (*bardzo cicho*):

Ja... nie...

TADEUSZ:

Wmawiasz w siebie...

EMILIA:

Więc?...

TADEUSZ:

Więc... wiosna nasza... nie wróci...

(*Długa chwila milczenia*).

EMILIA (*z dłonią na czole i oczach, nerwowo*):

Mam wrażenie, że zapadam w jakąś topiel... Z rozpaczą czepiam się krawędzi łódki, lecz czyjeś nieprzebłagane ręce odrywają mi palce, konwulsyjnie trzymające się tej deski zbawienia... Unoszę w górę twarz... i widzę...

TADEUSZ (*do głębi wstrząśnięty*:)

I widzisz mnie... swego kata... który stoi na łodzi i rękę ci oddziera... Czy tak?!

(*Emilia długo łka*).

TADEUSZ (*pasuje się z sobą; już chce uklęknąć przed nią — lecz wstrzymuje się; wreszcie z rozdzierającą ironią*:

Nasz dramat... doszedł tutaj... do najwyższego... napięcia... Ha, ha, ha!

EMILIA (*ogromnie dotknięta, gorączkowo, pospiesznie osusza łzy; wreszcie z taką samą ironią, powoli, dławiąc się słowami*):

Zatem... już... czas... na... kurtynę!!...

TADEUSZ (*z twarzą stężałą, zapatrzony nieruchomo przed siebie*):

A tak... tak...

Emilia powoli, sennie wdziewa żakiet; rękawiczki, torebkę bierze do ręki; potem w milczeniu, nie patrząc na Tadeusza, wyciąga do niego bezsilną, omdlałą rękę.

Tadeusz przez moment, jakby się wahał z podaniem ręki; wreszcie — przezwyciężając się, ściska jej dłoń.

Emilia odwraca się i krokiem niepewnym, nieco naprzód podana, z niewidzącemi oczyma, idzie ku drzwiom.

Tadeusz opada na krzesło przy stole i z twarzą w męce patrzy za nią. Gdy już wyszła, siedzi chwilę w tej samej pozycyi. Naraz zrywa się; z rozpaczą:

Mila! Mileńka!

Biegnie ku drzwiom, lecz tuż przy nich się zatrzymuje; opiera się bezsilnie ramieniem o futrynę; stoi tak dłuższą chwilę. Wreszcie odwraca się od drzwi; gest dłonią do czoła — ręka opada — ciężkie westchnienie. Idzie z poważną, skupioną twarzą ku biurku.

(Kurtyna powoli opada).

SPIS RZECZY.